

Skł. 158.529

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

SKRZYDŁA
OŁTARZA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

961 158.524

5

SKRZYDŁA OŁTARZA

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca: Edition et Librairie „Libella”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

SKRZYDŁA OŁTARZA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

I odemknąwszy jak księgę skrzydła starego ołtarza, ujrzał iż są od wewnątrz dłutem misternie wyrobione w drzewie: jedno przedstawiało Złożenie do Grobu, drugie Zmartwychwstanie.

Z anonimowej opowieści weneckiej z XVI stulecia

WIEŻA

I

Latem 1945 roku, ledwie skończyła się kampania włoska, odwołano mnie z postoju między Bolonią a Równią i skierowano do naszej misji wojskowej w Mediolanie. Po paru tygodniach pracy poprosiłem o urlop. Postanowiłem go spędzić w ciszy i odosobnieniu jakiejś wsi w Piemencie. Szczęśliwy traf chciał, że zatrudniony w naszej placówce Włoch zaofiarował mi klucze od małego domku u stóp Przedalp, gdzie pod koniec wojny umarł zupełnie sam jego daleki krewny, emerytowany nauczyciel gimnazjum w Turynie. Od śmierci starego samotnika nikt tam nie zamieszkiwał.

Domek znajdował się na zielonym zboczach stanowiącym jak gdyby cokolwiek najwyższego w okolicy szczytu Murczone, dość wysoko nad szosą z centralnego miasteczka przemysłowego w głąb całego podgórskiego rejonu. Choć położony był na uboczu, szeroka trzykilometrowa droga polna o zakrętach ubezpieczonych murkiem z kamieni łączyła go z szosą u wlotu do pobliskiej wsi.

Zajazd przed domem, posypywany żwirem i ocieniony wzdłuż żelaznego parkanu kilkoma klonami, przechodził w bok od bramy w niewielki ogródek: ręka gospodarza dbała widocznie ostatnio tylko o to, by nie dać zarosnąć ścieżkom między grządkami. Mur z obu stron zajazdu znikł już całkowicie pod zbyt rozkrzewionym pokrowcem bluszczu i dzikiego wina. Tylne, zawsze ciemne pokoje wychodziły wprost na pochyłość zarośniętą na pół zwie-

dłymi krzakami jeżyn i spalonymi przez słońce chaszciami. Łatwy dostęp ze zbocza do okien nasunął budowniczym zrozumiałą myśl o wstawieniu w nich krat, ale i bez tego było coś z dobrowolnej klauzury w ukośnej płaszczyźnie zagrządzającej drogę wzrokowi.

Wybrałem dla siebie frontowy pokój na parterze, gdzie jedyne w całym domu ślady życia wskazywały na upodobanie doń także i gospodarza; przez otwór między dwoma klonami roztaczał się stąd widok na dolinę Elvo z jej ciemnozielonymi kępami drzew, jasnymi płatami łąk, czerwonymi cętkami dachów otaczających wieżyczki kościołów i daleko na horyzoncie — wypłowiałymi kapturami zamków na wzgórzach.

Mimo że duży i wygodny, pokój posiadał jedno tylko okno, które nie wystarczało, by rozproszyć panujący tu od świtu do zmierzchu półmrok i wysuszyć w kątach liszaje wilgoci. Nadgryzione przez korniki meble, krzesła i kozetka o wyliniąłych obiciach ze skóry, gąszcz pajęczyny w kominku i na półce z książkami, lustro nad komodą w złoczonej niegdyś ramie, które odbijało twarz jak przez smugę sadzy — wszystko to zdawało się doskonale harmonizować z czterema sztychami Piranesiego na ścianach. Kto widział bodaj raz w życiu jego sztychy, ten wie, że Piranesi gustował w ruinach i potrafił z nich wydobyć akcent ciała odpadającego od kości. W uczonej dysertacji o jego „Więzieniach” Aldous Huxley pisze, że wyrażają „doskonałą bezcelowość”: „schody nie prowadzą do nikąd, stropy nie podpierają niczego”.

Nad stolikiem w kącie, obok okna, wisiał jeszcze jeden, znacznie mniejszy sztych nieznanego autora i bez podpisu, przedstawiający na tle gór kwadratową wieżę otoczoną dość wysokim murem i wkliniowaną po środku w sześcienny budynek z paroma zaledwie wąskimi otworami okiennymi. Nie piórko artysty nawet, lecz wyraz opuszczenia i niemej skargi — kamienna korona wieży wznosiła się ku czarnym kłębowi chmur na niebie jak źle zaciśnięta pięść — czynił z tego sztychu martwy krajobraz, przy którym Piranesi stawał się jedynie bukolicznym poetą

szczątków antyku. Na stoliku, między dwoma srebrnymi lichtarzami, leżała mała książeczka — tak brudna, wygnięta i zatłuszczona kroplami stearyny, że odgadywało się w niej bez trudu ulubioną lekturę gospodarza w ciągu wielu lat. Był to „Le Lépreux de la cité d'Aoste” François-Xavier de Maistre'a w przekładzie włoskim i w wydaniu neapolitańskim z 1828 roku, ograniczonym do pięćdziesięciu numerowanych egzemplarzy. W oryginale angielskim tłumacz zachował motto z „Seasons. The Winter” Thomsona:

*Ah! little think the gay licentious proud,
Whom pleasure, power, and affluence surround...
Ah! little think they, while they dance along...
How many pine!... how many drink the cup
Of baleful grief!... how many shake
With all the fiercer torture of the mind!*

II

Południowa część Aosty — opowiada de Maistre — nie była nigdy szczególnie zamieszkała i przedstawiała raczej obraz pastwisk oraz pól uprawnych przytykających do resztek murów rzymskich i do niskich murków, jakimi ogradzano działki warzywne. Podróżni jednak odwiedzali ją często, zwabieni dwiema osobliwościami: w pobliżu południowej bramy miasta oglądali ruiny starego zamku z okrągłą wieżą, gdzie według podań ludowych zazdrosny hrabia Renato di Challant zamknął swoją żonę, księżniczkę Marię di Braganza, i zamorzył ją na śmierć głodem (stąd nazwa wieży Bramafan, czyli Krzyk Głodu); przeszedłszy kilkaset metrów wzdłuż kamiennych strzepów muru rzymskiego, stawali przed drugą wieżą — tym razem kwadratową i zbudowaną częściowo z marmuru; legendy ludowe ochrzciły ją mianem Wieży Strachu, *Torre dello*

Spawento, gdyż uchodziła za siedzibę duchów i w pochmurne noce widywano w jej drzwiach białą damę z lampą w dłoni.

Około roku 1782 Wieżę Strachu odrestaurowano i otoczono jak obrożą murem przewyższającym znacznie rosłego mężczyznę, by dać w niej schronienie trędowatemu i odizolować go całkowicie od świata. Nieszczęśnik pochodził z małego księstwa Oneglia na wybrzeżu liguryjskim, nabytego przez Savoiów w XV stuleciu. Nie wiadomo dokładnie w jakim był wieku gdy go przywieziono do wieży, w której miał umrzeć, ale sądzić można, że nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat. Szpital maurycjański w Aście zobowiązał się dostarczać mu żywność, a władze miejskie zaopatrzyły go w trochę mebli i w narzędzia ogrodnicze. Nie widywał nikogo z wyjątkiem człowieka, który co tydzień przynosił mu zapasy żywności ze szpitala, oraz księdza zachodzącego czasem do *Torre dello Spawento* z pociechą religijną.

W okresie kampanii alpejskiej 1797 roku, a więc w piętnaście lat po osadzeniu trędowatego w Wieży Strachu, de Maistre znalazł się w Aście jako oficer wojsk sabaudzkich. Któregoś dnia przechodził obok wzniesionego dokoła wieży muru i zobaczywszy niedomkniętą furtkę, wszedł z ciekawości do środka. Ujrzał skromnie ubranego człowieka, opartego o drzewo i pogrążonego w głębokiej zadumie. Na dźwięk skrzypiącej furtki i kroków samotnik, nie odwracając głowy, wykrzyknął smutnym głosem: — Kim jesteś, wędrowcze, i czego tu szukasz?

Oficer wyjaśnił, że jest cudzoziemcem i swoje wtargnięcie usprawiedliwił podziwem dla dostrzeżonego przez szparę w furtce ogrodu. — Nie zbliżajcie się, panie — odpowiedział mieszkaniec wieży powstrzymując go ruchem ręki — nie zbliżajcie się, gdyż macie przed sobą trędowatego.

Podróżny pośpieszył z gorącym zapewnieniem, że nigdy w życiu nie unikał ludzi dotkniętych nieszczęściem. Trędowaty zwrócił wówczas ku niemu twarz i powiedział:

— Zostańcie tedy, panie, jeśli zobaczywszy jak wyglądam znajdziecie jeszcze w sercu dość odwagi.

Oficer zamarł na chwilę z przerażenia na widok twarzy całkowicie zniekształconej przez trąd. — Zostanę chętnie — odparł wreszcie. — Może moja wizyta spowodowana zainteresowaniem wniesie również w ten dom cień ulgi.

— Zainteresowanie! — krzyknął trędowaty. — Nie wzbudzałem dotąd innego uczucia poza litością. Ulga! Jest już dla mnie wielką pociechą widzieć człowieka i słyszeć dźwięk głosu ludzkiego, który zdaje się umykać mojej uwadze.

Podróżny zaczął żywo rozpytywać mieszkańca wieży o jego siedzibę. Trędowaty nakrył głowę szerokim kapełuszem, którego opuszczone skrzydła zasłoniły mu prawie zupełnie twarz. Poprowadził najpierw gościa ku części nasłonecznionej ogrodu, gdzie na dużym klombie hodował rzadkie kwiaty z nasion dzikich roślin żyjących na stokach Alp, próbując arkanami sztuki ogrodniczej nadać im większą doskonałość i piękno. Zachęcił go do wybrania paru najpiękniejszych i dodał szybko, że może to uczynić bez żadnej obawy. — Zasiałem je — wyjaśnił, — znajduję przyjemność w podlewaniu ich w patrzeniu na nie, ale nigdy ich nie dotykam.

Chronił je w ten sposób od zarażenia, gdyż inaczej nie mógłby ich nikomu ofiarować. Zrywa je niekiedy posłaniec szpitalny, niekiedy zaś przybiegają po nie z ulicy dzieci; biją piąstkami w furtkę, a on odciąga zasuwkę i natychmiast ucieka na szczyt wieży, by ich nie wypłoszyć i nie zrobić im mimo woli krzywdy; z okna wieży patrzy jak baraszkują chwilę na ścieżkach i rzucają się potem ku klombowi; przed odejściem odwracają się u progu furtki, podnoszą ku niemu główki i przekrzykując się nawzajem, wołają ze śmiechem: *Buon giorno, Lebbroso!* Te dziecinne okrzyki są dla niego źródłem prawdziwej radości.

Posadził również w ogrodzie wiele gatunków drzew owocowych i winną latorośl, która wspięła się aż na szczyt

jedynego fragmentu muru rzymskiego, jaki po otoczeniu Wieży Strachu kamienną obręczą pozostał w obrębie pustelni. Resztką starego muru była tak szeroka, że mógł na niej po zbudowaniu schodków swobodnie spacerować i obserwować przez ogrodzenie daleką wieś, łąki i ludzi na polach, nie będąc przez nikogo widzianym. Ten zakątek upodobał sobie najbardziej. Miasto wydawało się stąd pustynią. — Nie zawsze — powiedział — znajduje się samotność w sercu lasów lub wśród skał. Nieszczerliwy jest samotny wszędzie.

Był teraz skłonniejszy do mówienia o sobie. Stracił rodziców jako dziecko i nigdy ich nie widział; została mu tylko siostra, która umarła przed dwoma laty; nie miał nigdy przyjaciół. Tak widocznie podobało się Bogu. Podróżny zapytał go o nazwisko. — Ah! — wykrzyknął mieszkawiec wieży. — Moje nazwisko jest straszne! Nazywam się Lebbroso! Nikt nie zna ani nazwiska, które odziedziczyłem po rodzinie, ani imienia jakie otrzymałem na chrzcie. Jestem Trędowaty: oto mój jedyny tytuł do życzliwości ludzi. Oby żyli w nieświadomości, że nosi mnie ta ziemia, i oby na wieki zaginęła wszelka pamięć o moim istnieniu!

Siostra spędziła z nim w Wieży Strachu pięć lat. Tak samo trędowata, dzieliła jego męki, a on próbował ulżyć jej cierpieniom.

Czym się zajmował w tak głębokiej samotności? Zadawszy to pytanie, podróżny dorzucił: — Wyznaję że wieczna samotność przeraża mnie; nie potrafię jej sobie wyobrazić.

— Ten kto kocha swoją celę — odparł Trędowaty — znajdzie w niej spokój. Uczy tego naśladowanie Chrystusa. Zaczynam rozumieć prawdę tych słów niosących pociechę.

Latem pracował w ogrodzie. Zimą wyrabiał koszyki i maty. Szył sobie sam ubrania i przyrządzał posiłki. Poświęcał modlitwie godziny wolne od pracy. Tak zbiegał rok, a gdy mijał, wydawał się prawie krótki.

To prawda że ból i niepokój zdają się wydłużać dnie i noce, ale lata płyną zawsze z tą samą szybkością. Istnieje poza tym w najniższym kręgu nieszczęścia przyjemność, której większość ludzi nie potrafi zrozumieć: przyjemność życia i oddychania. Latem spędzał niekiedy długie godziny bez ruchu, rozkoszując się powietrzem i urokami natury. Wszystkie jego myśli stawały się wówczas nieokreślone i jakby zamglone; smutek opadał stężały na dno jego serca, ale nie wywoływał w nim ucisku; wzrok błędzący po polach i skałach przywijał się coraz bardziej do martwych przedmiotów. Tak, kochał martwe przedmioty: oglądane codziennie, stały się w końcu jedynymi towarzyszami jego życia.

Co wieczór, przed powrotem do wieży, żegnał ostatnim spojrzeniem lodowce Ruitorts, ciemne lasy na zboczach San Bernardo i przedziwne wierzchołki wzgórz królujące nad doliną Rhème. Choć potęga Boska obecna jest w takim samym stopniu w stworzeniu mrówki co w stworzeniu całego wszechświata, wspaniałe widowisko gór narzucało się ze szczególną siłą jego zmysłom: nie mógł patrzeć na te olbrzymie masywy, pokryte wiecznym lodowcem, bez uczucia religijnego osłupienia. Ale i w tej rozległej scenerii miał parę ulubionych punktów: przede wszystkim pustelnię w Charvensod, gdy porzucona wśród gajów i pustych pól odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca. Z nastaniem zmierzchu zatapiał w niej wzrok i czuł jak odpoczywa jego wyobraźnia.

Ta pustelnia stała się prawie jego własnością. Zdarzało mu się niekiedy ulegać podszeptowi mglistej reminiscencji, że żył tam w szczęśliwszych czasach, które z upływem lat wyblakły w jego pamięci. Przejmował go zwłaszcza do głębi widok dalekich gór gubiących się na styku z horyzontem. Na podobieństwo przyszłości, odległość budziła w nim nadzieję; jego umęczone serce gotowe było łatwiej uwierzyć, że istnieje nieznanym kraj, w którym kiedyś będzie mógł poznać nareszcie w pełni smak tego szczęścia, jakie przeczuwał tylko w swojej wieczornej

kontemplacji; tajemny instynkt dokonywał reszty, — nadzieję zmieniał w możliwość.

Musiał się pewnie zdobyć na wielki wysiłek ducha by, pogodziwszy się z losem, nie dać się opanować rozpaczcy? Nie, skłamałby gdyby powiedział, że nie znał nigdy innego uczucia poza rezygnacją. Nie doszedł do tego wyrzeczenia się samego siebie, jakie osiągnęli niektórzy anachoreci. Nie spełniło się w nim jeszcze zupełne całopalenie wszelkich uczuć ludzkich. Życie zbiegało mu na nieustannych walkach i nawet pomoc religii nie zawsze była w stanie powstrzymać pędu jego wyobraźni: wbrew jego woli wyobraźnia ciągnęła go często ku oceanowi chimerycznych pragnień, które roztaczały przed nim fantastyczny obraz nieznanego świata.

Na próżno czerpał z książek wiedzę o przewrotności ludzkiej i o nieszczęściach towarzyszących jak nieodłączny cień doli człowieczej: jego serce odmawiało uwierzenia w to, co czytały jego oczy. Los ludzi wolnych wydawał mu się tym godniejszy zazdrości, im bardziej opłakany był jego własny. Na początku wiosny, gdy wiatr Piemontu zaczynał dąć w dolinie Aosty, czuł się do szpiku kości przeniknięty jego ożywczym ciepłem i chęć życia wzbierała w nim gwałtownie, zrywając wszystkie tamy. Wymykał się wówczas po kryjomu ze swego więzienia i błąkał się po okolicznych polach odurzony przestrzenią. Krył się by nie być zobaczonym przez tych samych ludzi, których jego serce tak gorąco pragnęło spotkać. Ze szczytu wzgórza, zaszyty w krzakach jak dzikie zwierzę, ogarniał wzrokiem miasto. Śledził z daleka mieszkańców Aosty, którzy ledwie o nim słyszeli, wyciągał ku nim z jękiem ręce i domagał się swojej części szczęścia. W przypływach uniesienia (wyznawał to ze wstydem) obejmował niekiedy ramionami drzewa w lesie, zaklinając Boga, by je ożywił i dał mu choć jednego przyjaciela. Ale drzewa odpychały go swoją chłodną korą, szumiały nad nim milczeniem. Pokonany przez zmęczenie, prawie u kresu sił, wracał w końcu do więzy i szukał ulgi w modlitwie.

Przeżywał więc — nieszczęsny! — wszystkie naraz cierpienia duszy i ciała? Nie te ostatnie były najokrutniejsze. Co miesiąc stawały się wprawdzie dotkliwsze, lecz potem stopniowo słabły. Gdy księżyc przebijał niebo cienkim sierpem, choroba odzywała się natychmiast ze wzmożoną siłą; w miarę jak zaokrąślał się w tarczę, łagodniała i zdawała się zmieniać swoją naturę: skóra na jego ciele wysychała i białała, i nie czuł już prawie bólów. Nie same bóle zresztą były najgorsze, ale ich wierne echo — bezsenność.

Ah, bezsenność, bezsenność! Nikt, kto tego sam nie doświadczył, nie potrafi sobie wyobrazić jak smutna i długa jest noc, którą spędza się bez zmrużenia oka i z myślą utkwioną w przyszłości wyzutej całkowicie z nadziei! Nie, nikt tego nie potrafi zrozumieć. Jego niepokój rósł wraz z nocą. Zbliżający się świt zastawał go w takim podnieceniu, że mąciły mu się myśli, nie wiedział już co się z nim dzieje i stawał się ofiarą niezwyklej halucynacji. To zdawało mu się, że jakaś nieodparta siła ciągnie go w przepaść bez dna, to znowu tuż przed jego oczami czarne plamy krzyżowały się z szybkością błyskawicy, rosły zbliżając się do niego i przeobrażone niebawem w góry, przyniatały go swoim ciężarem. Widywał też niekiedy wynurzające się dokoła z ziemi chmury, które na podobieństwo skłębionych bałwanów morskich groziły mu połknięciem. Gdy usiłował się podnieść i wyzwolić z tych przywidzeń, niedostrzegalne pęta przykuwały go do łóżka. Nie, nie były to sny. Widział ciągle to samo i groza tych doznań przewyższała wszystkie udręki jego ciała. Może te okrutne majaki podsuwała mu gorączka wywołana bezsennością? Trędowaty spojrzał na swego gościa z nadzieją: Ah, gdybyż to była tylko gorączka! Gdyby podobało się Bogu doświadczać go tylko gorączką! Drżał dotąd zawsze na myśl o tym, że nawiedzają go pierwsze oznaki obłędu...

Podróżny przysunął się do niego bezwiednie. — Nie boicie się, panie — ostrzegł go mieszkaniec wieży, — stać tak blisko mnie? Usiądźcie na tym kamieniu. Schowam

się za liście i będziemy mogli rozmawiać nie widząc się nawzajem. Ostrożnie! O mały włos wasze palce dotknęłyby mojej dłoni!

— Miałem ochotę ją uścisnąć — powiedział oficer.

— Podobna przyjemność — odparł Trędowaty — spotkałaby mnie pierwszy raz w życiu: nikt nigdy nie uściskał mojej dłoni.

„Nieszczęśliwi lubią mówić o swoim nieszczęściu”. Po tych słowach mieszkaniec wieży podjął znowu swoją opowieść. Siostra była jedynym ogniwem łączącym go z ludzkością. Pękło ono z woli Wszchemocnego, skazując go odtąd na wieczną samotność. Natura ich choroby odebrała im jednak także dar normalnej zażyłości, jaka wiąże zapewne w wolnym świecie przyjaciół w nieszczęściu. Nawet kiedy zbliżała ich fizycznie wspólna modlitwa, unikali wzajemnego patrzenia na siebie, by nie mieć tym strasznym widokiem pobożnych rozmyślań, a ich spojrzenia spotykały się tylko w niebie. Po modlitwie towarzysza jego samotności wracała zazwyczaj do swojej celi, lub znikła za leszczynowym żywopłotem otaczającym ogród.

Ta surowa reguła współżycia miała swoje przyczyny. Gdy trąd, którego ofiarą padła cała jego rodzina, zaatakował również na koniec jego siostrę i przywieziono ją do wieży w Aoście, nie widzieli się jeszcze nigdy w życiu: na widok brata jej oczy rozszerzyły się nagle bezgranicznym przerażeniem. Obawa by jej nie pogrążyć swym wyglądem w rozpacz, a stokroć większa — by przez za bliskie obcowanie nie rozszerzyć zasięgu jej choroby, narzuciły mu ten smutny tryb życia. Trąd poraził tylko jej piersi i nie zgasił ostatniego płomyka nadziei, że uzdrowiona opuści kiedyś ten przybytek dla pogrzebanych żywcem. W miejscu gdzie teraz widać było resztki altanki zasadził po jej przyjeździe przegrodę z chmielu, która dzieliła ogród na dwie części; po obu stronach zielonego płotu biegły wąskie ścieżki: mogli przechadzać się po nich razem nie widząc się nawzajem i nie zbliżając się do siebie zbyt blisko.

Mimo wszystko przecież nie był wówczas sam. Nasłuchiwał w samotności dźwięku jej kroków. Kiedy o świcie wychodził pod drzewa na poranną modlitwę, drzwi wieży otwierały się cicho i jej głos przyłączał się do jego głosu. Kiedy przed wieczorem podlewał kwiaty, spacerowała czasem w smudze zachodzącego słońca i jej cień jak wahadło przesuwiał się na klombach. Nawet gdy ją widywał rzadziej, znajdował wszędzie ślady jej obecności. Którejś nocy, chcąc zagłuszyć wyjątkowo ostre bóle, zaczął przemierzać dużymi krokami celę. Poczuvszy znużenie, usiadł na chwilę na łóżku. W martwej ciszy nocnej usłyszał nagle za drzwiami jakby leciutki szelest. Podeszedł do drzwi, przyłożył ucho i natychmiast zrozumiał: klęczała tuż za progiem i ledwie dosłyszalnym szeptem zmagiała *Miserere*. Łzy napłynęły mu do oczu, obsunął się na kolana i samym ruchem warg powtarzał jej słowa. „Idź spać — powiedział do niej wreszcie, — czuję się już trochę lepiej. Niech ci Bóg wynagrodzi twoje miłosierdzie”. Oddaliła się w milczeniu. I jej modlitwa została istotnie wysłuchana, gdyż zmorzył go w końcu na parę godzin spokojny sen. A teraz? Teraz był znowu zupełnie sam.

Po jej śmierci zapadł w odrętwienie, które pozbawiło go zdolności zmierzenia do dna otchłani jaka otworzyła się pod jego stopami. Gdy oprzytomniał na tyle by móc ogarnąć swoją nową sytuację, był bliski pomieszanania zmysłów. Ten okres odcisnął się w jego pamięci jako podwójnie bolesny: przypominał mu przede wszystkim największe z dotychczasowych nieszczęść; lecz przypominał mu także powściągniętą w ostatniej chwili pokusę zbrodni.

Już dawniej, w przystępach depresji, stawała przed nim myśl o porzuceniu tego życia, zawsze jednak umiał nad nią na czas zapanować. I oto zwykły drobiazg, który na pozór mało się nadawał by wzburzyć do głębi jego serce, pchnął go niemal na skraj samobójstwa.

Przed paru laty przybłąkał się do wieży mały kundel. Oboje z siostrą otoczyli go najczulszą opieką. Po jej śmierci ten pies był wszystkim co mu zostało.

Jego brzydocie przypisać zapewne należało, że wybrał sobie na schronienie Wieżę Strachu. Przepędzany przez żywych, był prawdziwym skarbem w domu umarłych. Nadali mu imię *Miracolo*, gdyż swoją nieustanną wesołością dostarczał im czasem parę chwil przelotnego zapomnienia. I choć często przepadał gdzieś na długo, jego nowemu panu nigdy nie przyszło na myśl, że te eskapady mogą wywołać niepokój wśród mieszkańców Aosty. Pewnego dnia jednak do wrót wieży zapukało dwóch żołnierzy z rozkazem natychmiastowego utopienia czworonożnego przybłądy w Dorze. Schwytali go na pętłę i poczęli ciągnąć w kierunku furtki. Tłum zebrany na ulicy pożałował mu nawet tej śmierci w czystych falach Dory i zatłukł go tuż za bramą kamieniami.

Na odgłos wycia ludzkiego Trędowaty uciekł do celi na wpół żywy. Uginały się pod nim nogi. Rzucił się nieprzytomny na łóżko i w jego sercu otworzyły się na powrót wszystkie dawne i świeże rany.

W takim stanie ducha zwłókl się o zachodzie słońca do swojego ulubionego zakątka. Znajomy krajobraz uspokajał go z wolna, gdy nagle na ścieżce w pobliżu muru dostrzegł parę zakochanych. Szli zatopieni w swym szczęściu, przystawali co parę kroków i obejmowali się ze spokojną ufnością, nie podejrzewając nawet, że z ukrycia śledzi ich i pożera prawie czyjś zazdrosny wzrok. Tak, zazdrosny: nigdy w życiu przed samotnym mieszkańcem wieży nie odsłonił się tak żywo obraz ludzkiego szczęścia, i po raz pierwszy zakradła się do jego serca zazdrość. Wrócił szybko do celi. Boże, jakaż mu się teraz wydawała pusta, posępna i straszna! „A więc to tu — krzyknął na głos — przeznaczone mi jest żyć zawsze; tu, wlokąc za sobą moje nędzne istnienie, muszę oczekiwać odległego końca moich dni! Wiekuisty rozlał strumienie szczęścia na wszystko co oddycha i tylko ja, ja jeden, muszę żyć sam! Jakiż okrutny los!”.

Pełen tych smutnych refleksji, zapomniał o jedynym jaki mu jeszcze został pocieszycielu — o sobie samym. „Czemu — ciągnął swój bluźnierczy monolog — ujrzałem

światło dzienne? Czemu natura tylko mnie jest macochą? Podobny do wydziedziczzonego syna, mam przed oczami bogatą puściznę rodzaju ludzkiego, a niebo w swoim skąpstwie tylko mnie odmawia należnej mi części. Nie, nie — wezbrał w nim gniew, — nie ma dla ciebie szczęścia na tej ziemi; umrzyj, nieszczęsny, umrzyj! Za długo kalależ ją swym istnieniem, niech cię pochłonie żywym, niech zginie po tobie wszelki ślad!". Pęczniała w nim z każdą chwilą niepohamowana wściekłość. Pragnienie samozniszczenia opętało wszystkie jego myśli.

Postanowił podpalić wieżę i płomieniom powierzyć spopielenie najmniejszych okruchów pamięci po sobie. Wyszedł podniecony za bramę. Błąkał się jakiś czas u stóp muru. Z jego piersi wyrwały się mimowolne okrzyki i napełniały go wśród nocnej ciszy przestrachem. Odchodząc od zmysłów, cofnął się ku bramie i zawołał: „Biada ci, Trędowaty, biada ci!". I jak gdyby wszystko sprzysięgło się na jego zgubę, usłyszał naraz od strony zamku Brama-fan echo powtarzające wyraźnie: „Biada ci!". Zatrzymał się w otworze furki i spojrzał za siebie; słabe echo gór podjęło przeciągle: „Biada ci!".

Wziął lampę, nzbierał trochę chróstu i suchych gałązek na podpałkę, i poszedł do najniższego pokoju wieży, gdzie za życia mieszkała jego siostra. Nie zachodził tu od jej śmierci nigdy: wszystko wyglądało jeszcze tak, jakby umarła dopiero wczoraj. Postawił lampę na stole i zobaczył obok Biblię założoną wstążeczką z krzyżykiem, który nosiła zawsze na szyi. Zdrętwiał na ten widok, porażony jak piorunem myślą o otchłani, do której się zbliżał. Gdy otworzył machinalnie Biblię, wypadł z niej zapieczetowany list „Zostawię cię wkrótce samego — pisała, — ale nigdy cię nie opuszczę. Będę czuwała nad tobą z nieba. Będę błagała Boga by ci dał odwagę znoszenia z rezygnacją życia aż do chwili, gdy spodoba Mu się połączyć nas na nowo w lepszym świecie. Zostawiam ci ten krzyżyk, który nosiłam całe życie: często przynosił mi pociechę w cierpieniach, a moje łzy nie miały nigdy innego świadka poza nim. Pamiętaj kiedy go zobaczysz, że moim ostatnim

pragnieniem było byś żył i umarł jak dobry chrześcijanin”.

Choć trudno w to uwierzyć, po przeczytaniu ostatnich słów ujrzał przed oczami ciemną chmurę i zapadł w stan omdlenia. Była już gęsta noc gdy się ocknął, i wszystko co zaszło w ciągu dnia wydało mu się naraz snem. Podniósł dziękczynny wzrok ku niebu: firmament był czysty i pogodny, na wprost okna migotała samotna gwiazda. Czyż nie tkwiła pewna otucha choćby w tym, że jeden z jej promieni przeznaczony był dla celi Trędowatego? Wrócił do siebie na górę i resztę nocy spędził na lekturze Księgi Hioba, czując z radością jak rozwiewa się niby czarna mgła szaleństwo, które nie tak dawno jeszcze pchało go prosto w objęcia zbrodni.

— O litościwy cudzoziemcze! — westchnął nagle Trędowaty. — Obyś dostał łaski Bożej i nie musiał nigdy żyć sam!

Po czym zamyślił się i dodał: — Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat gdy umarła, ale cierpienia zdawały się ją znacznie postarzać. Mimo choroby, która zmieniła rysy jej twarzy, byłaby jeszcze piękna gdyby nie ta straszliwa bledość... Była żywym wizerunkiem śmierci i nie mogłem na nią patrzeć bez drżenia... Cierpiała tak strasznie, że śledziłem z rozpacźliwą radością zbliżanie się końca...

Skończywszy swą opowieść, Trędowaty ukrył twarz w dłoniach. Po chwili milczenia wstał i powiedział: — Kiedy wpadniecie, panie, w sidła bólu i zgryzoty, pomyślcie o samotniku z miasta Aosta. Wasza wizyta nie okaże się wówczas nadaremna.

Ruszyli w stronę bramy ogrodu. Tuż przed wyjściem na ulicę oficer naciągnął na prawą rękę rękawiczkę i wyraził ponownie chęć uściśnięcia dłoni swego rozmówcy. Trędowaty uskoczył parę kroków w tył prawie przerażony i podniósłszy oczy i ręce ku niebu, krzyknął: — Miłosierny Boże, obsyp szczerze dobrodziejstwami tego litościwego przechodnia!

Czy mogliby chociaż co pewien czas do siebie piływać, oczywiście z zachowaniem koniecznych środków ostrożności? Na mgnienie oka w twarzy Trędowatego

zawisło wahanie. — Po co — odparł wreszcie — szukać ucieczki w złudzeniach? Nie wolno mi mieć innego towarzysza poza sobą samym, innego przyjaciela poza Bogiem. Żegnaj, szlachetny cudzoziemcze, żegnaj i niech cię Bóg prowadzi... Żegnaj na zawsze!

Podróżny wyszedł. Trędowaty zamknął furtkę i pchnął zasuwkę.

III

Latem w tych stronach bliskie sąsiedztwo Alp łągodzi wprawdzie dokuczliwość upałów, lecz w zamian za to wywołuje w przybytku z nizin coś w rodzaju sennego odrętwienia. Cisza jest tu absolutna: czasem tylko spada skądś ptak i odbiwszy się ciężko od ziemi, znika w zielonych koronach drzew jak zabłąkany kamień ze zbocza górskiego przebijający ciemną i nieruchomą powierzchnię jeziora; kiedy indziej ucho ledwie chwytą przytłumiony dźwięk dzwonka z dalekiego pastwiska, podobny do echa dobywającego się słabo z dna głębokiej studni. Lepkie i gęste powietrze, nakrywające za dnia dolinę opalowym kloszem, unosi się z pierwszym powiewem wiatru dopiero o zmierzchu, gdy słońce dosięgnąwszy linii gór czerwienieje na krótko chłodnym blaskiem i gaśnie.

Także ludzie spragnieni odosobnienia nie doznają zawodu szukając go wśród tych wzgórz, które po włosku noszą nazwę *colline* — równie płynną i melodyjną jak ich kształt, pełen melancholii w rysunku i złotawym odcieniu zieleni. Zdarzało się, że nie oglądałem przez cały dzień ludzkiej twarzy. Dopiero po zmroku siedłem na wieś i przesiadywałem do późna w jedynej tawernie, gdzie chłopci piemontcy w kapeluszach na głowach pili miejscowe, prawie czarne wino i śpiewali swoje gardłowe pieśni do księżycy, który ogromną łuską przeświecał między liśćmi w dachu altany.

W pierwszych dniach września spadły deszcze. Strugi wody biły w ściany domu i w dygocące szybki okien, przebiegały z dudnieniem po klawiszach obłuzowanych dachówek. Po południu robiło się już prawie ciemno, a niebo wiszące nisko nad doliną Elvo wyglądało jak szara ścierka z worka, wyżymana przez niewidzialne w kłębach pary ręce do ogromnej balii. Przejaśniało się czasem na krótko w godzinach rannych i nawet wtedy nie zawsze ustawał deszcz, lecz zamieniał się w słoneczną ulewę, w rozczesywane światłem sznury srebrnych kropel. Chmury opinały Mucrone postrzępionym i zwałnionym kołnierzem na połowie wysokości — sam szczyt górował nad nimi spłóskany do czysta, świeży mimo popielatego koloru skał. Liście drzew miały połysk ciemnozielonego szkła butelek, dno doliny przypominało spuszczone i pokryty wodorostami staw.

Po części z nudów, a po części jakby należało to do nietykalnego obyczaju tego domu, czytałem ciągle na nowo leżącą na stoliku książeczkę. Często — zwłaszcza nocą — po przeczytaniu ostatnich słów unikałem spojrzenia na brudne ściany obwieszone sztychami i połamane cieniami mebli, i z ulgą przyglądałem się ćmom obijającym się o sufit w bladym kręgu abażuru. Moja jedyna lektura zaczęła po pewnym czasie wywoływać stale ten sam obraz pamięci.

W okolicach miasta w którym się urodziłem słynie wśród miłośników krajoznawstwa kilkusetmetrowa góra, zwana Świętym Krzyżem od relikwii przechowywanych podobno na jej szczycie w starym opactwie Bernardynów. U jej podnóża, obok drogi z najbliższego osiedla ludzkiego, stoi kamienna figura zwrócona ku opactwu. Jest to klęczący „pielgrzym świętokrzyski”, uważany przez badaczy tego rejonu za votum pobożnego pątnika sprzed wielu stuleci.

Mądrość ludu otoczyła figurę kamiennego pielgrzyma legendą: posuwa się on co roku na klęczkach o ziarno maku i gdy dojdzie na szczyt Świętego Krzyża, nastąpi koniec świata. Twórcom tej legendy nie obce były jak

widać rozmyślania z zakresu rzeczy ostatecznych, ale co znacznie bardziej zastanawiające — także subtelniejsze związki między nadzieją a beznadziejnością, wiarą a rozpaczą. Wolno bowiem przypuszczać, że w swojej nieskończonej męce, raniąc sobie kolana o przydrożne kamienie, pielgrzym świętokrzyski dojdzie kiedyś i nie dojdzie nigdy do celu swej wędrówki; gdyby zaś nawet doszedł, w nagrodę za swoją wytrwałość uzyska tylko tyle, że równocześnie ze światłem zbawienia ujrzy ogień ostateczny pochłaniający wraz z nim całą ziemię.

Kamienny pielgrzym nie ma twarzy, lecz małą zniekształconą głowę osadzoną wprost na korpusie; czoło i nos zlewają się w niej w jedną pionową linię z brodą, a oczy są niby dwa ciemne otwory w kapturze — jak oczy ślepców, patrzą przed siebie nie widząc; włosy opadają mu na umieszczone nienaturalnie nisko ramiona, ręce splótł nabożnym gestem na piersiach; szeroką podstawę klęczącej postaci obrasta murawa. Wyżarty przez wiatry i deszcze, ze śladami obtłuczeń w wielu miejscach, jest posąg bezgranicznej cierpliwości. I tylko stali przechodnie, którzy omijają go obojętnie jak niezauważalną już część przyrody, uprzytamniają tą obojętnością obcym, że musi być również bezgranicznie samotny.

To właśnie, prócz wyglądu zewnętrznego, skojarzyło go przypuszczalnie w mojej wyobraźni z mieszkańcem Wieży w Aoście.

IV

Z początku sądziłem, że zainteresowanie gospodarza domu w którym zamieszkałem książeczką de Maistre'a tłumaczyło się zawartą w niej osobliwą *pociechą*.

Tę supozycję nasunął mi wstęp do neapolitańskiego wydania dziełka z roku 1828. Autor przekładu napisał go w modnej podówczas formie dedykacji. Jej adresatka — *Principessa di Torella, Duchessa di Lavello etc., etc.* —

proszona była przez swego uniżonego sługę o przyjęcie włoskiej wersji tej książeczki, która podobiała się bardzo za życia ambasadorowi Prus w Królestwie Neapolu, hrabiemu Flemmingowi. Przedwczesna śmierć ambasadora — „dla wszystkich bolesna, dla Ciebie, Pani, najboleśniej-sza” — zasługiwała w pełni na to, by ją uczcić w podobny sposób. Hrabia Flemming bowiem mawiał często, że nie ma na świecie człowieka, który w największej nawet rozpacz nie poczuje się w porównaniu z owym Trędowatym prawie zadowolony z życia, nazywał opowieść o nim Poczyszycielką Nieszczęsnych i ponieważ sam padał niejednokrotnie ofiarą zgryzoty i goryczy, nie rozstawał się z nią nigdy niby z ampułką wiecznie kojącego balsamu. Zachwyt ambasadora udzielił się księżnej Torella di Lavello, i od niej to o istnieniu relacji de Maistre'a dowiedział się autor przekładu. Przeczytał dziełko i głęboko w serce zapadł mu przede wszystkim gest odmowy, jakim mieszkaniiec Wieży w Aoście uchylił się od uściśnięcia dłoni swego gościa i nawiązania z nim korespondencji, przyjmując z odwagą i rezygnacją podwójny krzyż cierpienia i samotności: wspaniały przykład dany naszej płacziwej epoce i bliski każdemu, kto za najgodniejszy wyraz nieszczęścia uważa nie skargi i żale, lecz milczenie. Milczenie, co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty.

Czyż można było mieć wątpliwości, że z tej niewyczerpanej ampułki wiecznie kojącego balsamu zażywał codziennie przez lata parę kropel osamotniony emeryt z Turynu w swojej małej Wieży u stóp Muhrone?

Rychło wszakże odkryłem, że byłem w błędzie. W szufladzie stolika znalazłem kajet, wskazujący na to, że sprawa zajmowała jego właściciela znacznie głębiej. Do dziś nie umiem powiedzieć jakie miał zamiary — literackie, historyczne czy filozoficzne, — gdyż rękopis zawierał tylko różnego rodzaju notatki i wyciągi, i ani jednego słowa od autora.

Na pierwszej stronie widniał drukowanymi literami po łacinie przypuszczalny tytuł zamierzonej pracy: VITA

DUM SUPEREST, BENE EST. Dalsze stronicę, czasem u góry jedynie lub do połowy pokryte niewyraźnym piśmem, nie dawały dostatecznie jasnego pojęcia w jakim stopniu ten tytuł posiadał odcień gorzkiego szyderstwa, a w jakim stanowił wyznanie wiary piszącego. Prawdę mówiąc, zapiski gospodarza nie dawały pojęcia o niczym, i swoją przypadkowością wystawiały świadectwo jego chaotycznym raczej rozmyślaniom i dociekaniom. Raz była to zwykła informacja o prawdziwym nazwisku i dacie śmierci trędowatego z Aosty: Pier Bernardo Guasco, umarł w roku 1803, w sześć lat po wizycie de Maistre'a. Kiedy indziej uwaga Octave'a Mirbeau, że trąd jest chorobą, z której ani się człowiek nie leczy, ani na nią nie umiera. Tuż pod tą uwagą, nawiązującą do tradycji trądu jako „choroby mistycznej”, cytat z Kierkegaarda: „Gdyż nie trzeba myśleć, że w sensie dosłownym umiera się na tę chorobę śmiertelną (rozpacz), lub że ta choroba kończy się śmiercią fizyczną. Przeciwnie, tortura rozpacz tkwi właśnie w tym, że nie można umrzeć. Stąd przypomina ona stan umierającego, gdy miota się w walce ze śmiercią i nie może umrzeć. A zatem wpaść w chorobę śmiertelną to nie móc umrzeć, ale nie jakby istniała nadzieja życia, nie — brak wszelkiej nadziei oznacza tu, że brak nawet ostatniej nadziei, nadziei śmierci. Gdy śmierć jest największym niebezpieczeństwem, pokłada się nadzieję w życiu; ale gdy się zna jeszcze straszniejsze niebezpieczeństwo, pokłada się nadzieję w śmierci. Kiedy niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że śmierć stała się nadzieją, rozpacz jest brakiem nadziei, że można umrzeć”. To znowu parę wersetów z Księgi Kapłańskiej (Leviticus, XIII, 44-46): „Ktokolwiek tedy będzie splugawiony trądem, a oddzielony został za rozsądzeniem kapłańskim, będzie miał szaty rozprute, głowę odkrytą, usta szatą zakryte, i będzie wołał, że jest splugawiony i nieczysty. Przez wszystek czas, póki jest trędowaty i nieczysty, sam będzie mieszkał za obozem”.

Najbardziej zaciekały mnie długie wypisy z dokumentów o życiu trędowatych od Średniowiecza po XVII wiek, które Ambroise Paré znalazł w archiwach *Hôtel Dieu*

w Paryżu. Był tam średniowieczny dekalog trędowatego, zabraniający mu z rozkazu króla wszystkiego co mogłoby go pośrednio choćby zbliżyć do ludzi, czyli wszystkiego z wyjątkiem samego pozostawania przy życiu i oddychania (a i tu jeden z punktów pozwalał mu odpowiadać na pytania tylko z twarzą odwróconą w kierunku wiatru). Potem opis „inwestytury” trędowatego, lub raczej jego doczesnego pogrzebu. Najpierw ksiądz w stule i komży oczekiwał go na progu kościoła i odczytywał mu publicznie certyfikat lekarski, uznający go na podstawie prawem przepisanych symptomów za dotkniętego chorobą. Dalej ten sam ksiądz pokrapiał go wodą święconą i torował mu wśród tłumu drogę do wnętrza domu Bożego, obwieszonego kirem i z katafalkiem w głównej nawie obok ołtarza. Po mszy żałobnej za spokój jego duszy owijano go w białe prześcieradło, kładziono na noszach i cały orszak wyruszał na cmentarz, gdzie nad świeżo wykopanym grobem ksiądz posypywał mu głowę garstką ziemi i wygłaszał sakramentalną formułę: „Oto znak, że jesteś umarły dla świata. Odrodzisz się w Bogu. Bądź przeto cierpliwy, cierpliwy jak Chrystus i Jego Święci, do dnia w którym wstąpisz do Raju, gdzie nie ma żadnych chorób, gdzie wszyscy są czyści i gładcy, bez plam i krost, świetniejsi blaskiem niż słońce”. Wreszcie ksiądz wręczał mu ostrożnie kapucę, koszyk, małą barylkę i kij zakończony trzema ruchomymi płytkami, wygłaszając przy tym następną sakramentalną formułę: „Weź ten strój i przywdziej go na znak pokory. Koszyk i barylkę, aby ci służyły na jadło i wodę. Kij z grzechotką, abyś zawczasu ostrzegał przechodniów o swej obecności”.

W prywatnym archiwum domku pod Mucrone jedno tylko słowo mogło odsłaniać rąbek uczuć czy myśli samego archiwisty, ale było ono niestety zbyt dwuznaczne. Na marginesie ostatniej stronicy książeczki de Maistre’a, w miejscu gdzie opowiada on jak po swojej propozycji wymiany listów spostrzegł na oka mgnienie w twarzy mieszkańca Wieży wahanie, ołówek jej wiernego czytelnika zrobił klamrę i dopisał z boku: *Perchè?*, które zastanowiło

mnie dopiero kiedy zapoznałem się z przechowywanym w stoliku zeszytem. Czy wyrażało ono zdziwienie, że Trędowaty z Aosty nie przyjął w lot tej oferty i nawiązywało do łańskiego zdania na tytułowej karcie zeszytu, czy też przeciwnie — dezaprobatę że się w ogóle na ułamek bodaj sekundy zawahał, zamiast dźwigać nadal śmiało i z rezygnacją swój „podwójny krzyż cierpienia i samotności” i nie zdradzać cienia nawet lęku przed wiecznym milczeniem, „co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty”? Do dziś, mimo wszystko co mi później opowiedziano w sąsiedniej wsi o losie mojego zmarłego gospodarza, nie znajduję na te pytania odpowiedzi. Nie znajduję jednak także odpowiedzi na inne pytanie, dotyczące samego rozmówcy de Maistre’a: czy w jego przelotnym błysku wahania zabił jeszcze raz ledwie dosłyszalny puls nadziei, czy w tym który od dawna umarł dla świata jako Lebbroso obudził się po latach ostatni raz na krótką choćby chwilę Pier Bernardo Guasco?

Deszcze skończyły się równie niespodzianie, jak się zaczęły. Schyłek lata w włoskich wsiach przedalpejskich trudno odróżnić od przewlekłego i gorącego początku jesieni, który trwa niekiedy do końca października i przesila się wolno w leniwej dojrzałości górskiego słońca. Bywa że dopiero w listopadzie chłodne poranki oznajmiają nagłe oziębienie.

Szeleszczące wysoko w słońcu srebrne wstęgi strumieni zdawały się zmywać ze mnie mroczne wspomnienie moich lektur. Zdawały się, gdyż w kilka dni po wypogodzeniu się nie potrafiłem się oprzeć pokusie tej wyprawy, po której coś mogłem sobie obiecywać poza dotknięciem zapadającego się w głąb ziemi grobu?

V

Bramą do Val d’Aosta jest nominalnie Ivrea, ale prawdziwa dolina zaczyna się nieco dalej, na wysokości Cha-

teau d'Issogne, piętnastowiecznego okazu późnego gotyku zbudowanego przez hrabiów di Challant — ten sam ród, który według legendy ludowej wydał oprawcę księżniczki di Braganza z wieży Bramafan.

Wjazd do Val d'Aosta musi na każdym podróżnym robić wrażenie przeskoku z królestwa światła do królestwa półmroku, strzeżonego po obu stronach przez ciężkie cienie skał. Istnieją doliny, gdzie światło dzienne wcieka skąpo przełęczami górskimi; tutaj dociera jakby spod ziemi. Nawet na małą odległość nie łatwo rozpoznać od razu wiek przechodniów, brodzących w ciemnej posoce. Włosi nazywają Dolinę Aosty „la valle tetra”. Jest ona istotnie ponura, chociaż to nazbyt zdawkowe słowo wyrządza krzywdę posępnemu pięknu owej smugi cienia rozgraniczającej dwa światy. W miarę posuwania się naprzód wzrok zaczyna oswajać się powoli z półmrokiem i rzadko odrywa się od przyćmionego pasma mgły nad wodami potoku górskiego, który echem huku uderza o ścianę niewybuchłych głazów.

Od Saint-Vincent dolina się rozjaśnia i nabiera bardziej pogodnych akcentów. Potem nowy konterfekt w drodze wijącej się monotennie wśród lasków kasztanowych i pustych pastwisk na zboczach, i aż do mostu na Dorze „la valle tetra” usprawiedliwia na powrót swoją nazwę. Za rzeką jednak otwiera się znienacka głęboka miednica właściwej Aosty, nasycona zielenią winnic i łąk, podobna dzięki rozrzuconym bezładnie plamom małych osiedli i samotnych domków do palety malarza. Pod wpływem tak gwałtownego kontrastu podróżny zapomina, że tę kolorową muszlę natura uwięziła w martwym uścisku nagich szczytów i lodowców. Przypomni mu o tym wyrazem surowości samo miasto.

Swoją surowość zawdzięcza Aosta — dawna Augusta Praetoria — nie tylko szczątkom rzymskim i średniowiecznym, sterczącym starymi wykrotami z nowego miasta. Ulice są wąskie, lecz pozbawione teatralnej ruchliwości zaułków Południa; domy mają sztywną i odpychającą schludność, ludzie o chmurnych i twardych twarzach za-

chowują nawet w momentach ożywienia ociężałą powagę, jaką spotyka się raczej w krajach protestanckich niż katolickich. Wyczuwa się jakąś szczególną harmonię między tym klimatem życia a kamiennym i ascetycznym spokojem kolegiaty San Orso. Aosta jest miastem zamkniętym: wyszedłszy za rogatki większości dróg wylotowych, staje się w obliczu masywnego i groźnego muru Alp; przedłużenie ulicy Xavier de Maistre'a, na przykład, stanowi szosa prowadząca ku przełęczy Wielkiego Św. Bernarda.

Czas robi swoje, wymazuje nawet pamięć o ludzkich cierpieniach. Mimo ulicy de Maistre'a, mimo *Via Torre del Lebbroso*, mimo że Aosta jest dziś w gruncie rzeczy niewielką mieściną, żadna z zapytanych o to osób nie potrafiła mi wskazać dokładnie drogi do wieży gdzie spędził dwadzieścia jeden lat Pier Bernardo Guasco. Minęło półtora wieku od chwili, gdy otrzymał wreszcie z rąk Boga najwyższą zapłatę za swoje niekończące się konanie w samotności — półtora wieku życia, śmierci, narodzin i znowu życia i śmierci. Minęło półtora wieku od chwili, gdy zabrakło jedyne go mieszkańca tego nierealnego świata wypchniętego poza granice istnienia — półtora wieku realnego świata krzątającego się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku wokół swoich trosk i radości. Czy można się było dziwić, że wieczny przypływ Morza nakrył wysoką falą i zagłuszył szumem milczącą Wieżę?

Znacznie bardziej znana okazała się w Aoście inna wieża — Bramafan. Zapadł już jednak wieczór, ulica między dworcem kolejowym a Bramafanem była słabo oświetlona i opustoszała. W tej skąpo ciągle — jak za czasów de Maistre'a — zamieszkałej części miasta, otaczającej przechodnia typowym krajobrazem peryferii prowincjonalnych z krzywymi płotami, zaniedbanymi ogródkami, ledwie od ziemi odrosłymi domkami i czarnymi kopcami węgla obok toru, Krzyk Głodu nie przycichł wcale w ciągu stuleci. Okrągła wieża wynurzała się dramatycznie z ciemności na tle nisko płynących chmur, które odsłaniając co pewien czas księżyc, wykrzesywały zeń jakby błyski dalekiej luny.

Ulica urywała się nagle i wypuszczała na ukos ku miastu niezbyt widoczną ścieżkę między domami przylegającymi do skraju pola. Kilkadziesiąt metrów dalej ścieżka przecinała nagi placyk i wsiąkała w otwór wąskiego zaułka. Było tu jeszcze ciemniej, ale w oddali u wylotu chwiał się blady wachlarz światła śródmieścia. Zatrzymałem się w połowie drogi na widok muru przewyższającego rosłego mężczyznę.

Poznałem bez trudu kwadratową kanciastość jej kształtu i oniemiały w pół słowa motyw kamiennej korony na szczycie, tak dobrze uchwycony przez anonimowego autora sztychu. Wspiąwszy się na palce, mogłem też przez jedyny wyłom w murze zobaczyć to, co było niegdyś częścią ogrodu Trędowatego, a teraz stanowiło kawałek podwórza zadziczony chwastami.

Nawet na starych i dawno porzuconych cmentarzach nie widuje się takiej martwej pleśni lat. Dół budynku ginął w grubych rozrośniętych badylach i ogromnych liściach. Ściany ziały tą pustką prochu, jaką kryje tylko wciągany wolno przez ziemię kamień grobowy. Najwyższe okno tuż pod szczytem zabite było więziennym koszem z desek, reszta czerniała jak wydrażone oczodoły. Ale cisza nie wydawała się tu zupełnie martwa i to właśnie budziło niepokój. Miała w sobie coś zawieszonego, niedokończonego, niezadowolonego. Trudno było nie ulec na chwilę urojeniu, że jest tam w środku ktoś zamurowany i z uchem przyłożonym do szpary między kamieniami nasłuchujący odgłosów życia. Unieruchomiona przez rdzę klamka w furtce dowodziła jak dawno nikt jej nie naciskał.

Mundur aliancki otwierał po wojnie we Włoszech wszystkie drzwi: nazajutrz rano towarzyszył mi woźny municypalny z *Ufficio delle Antichità e Belle Arti*. Dzień był słoneczny i prawie upalny. Znając drogę, z centralnego placu Chanoux trzeba nie więcej niż pięć minut by dotrzeć na róg uliczki z napisem *Via Torre del Lebbroso*.

Musiała to być z dawien dawna uliczka szewców i drobnych rzemieślników, bo nisko wszędzie sklepione wejścia zaledwie obramowywały zgarbione plecy pracujących.

W stuku młotków i gwizdzie hebli nie słysząc było naszych kroków, a znad warsztatów nie podniosła się ku nam żadna głowa. Przyłączyło się do nas tylko kilkoro dzieci, podając sobie w tyle za nami z nogi do nogi szmacianą piłkę. Niegdyś inne tu przed nimi dzieci wpadały po kwiaty do ogrodu za murem i wybiegały natychmiast z okrzykiem: *Buon giorno, Lebbroso!* Co w tych roześmianych nawoływaniach mogło mu sprawiać dziwną przyjemność?

W świetle dziennym Wieża traciła wiele ze swej niesamowitości, lecz przedstawiała nadal żalosny obraz cementarnego kąta zarastającego zielskiem i pokrzywami. Kamienie posiadają pewną właściwość, która wymyka się rozumowi: starzeją się inaczej gdy służą cierpliwie ludziom, a inaczej gdy omija je z daleka strumień życia. Opuszczone przez ludzi, zdają się schnąć i pękać jak skorupa ziemska nietknięta od lat kroplą wody. Odwiedzane przez ludzi, gęstnieją i twardnieją jak kora wiecznie żywego drzewa. I dzieje się tak, choćby obecność człowieka oznaczała tylko obecność jego pamięci a nie troskliwej ręki.

Zbliżałem się do niej z tym samym uczuciem, jakiego doznałem podczas pierwszej wieczornej wizyty; ale więziła teraz nie tyle zapomnianego pustelnika, co całą jego rozległą i nieludzką pustynię bez horyzontów. Jedyna tu rzecz ludzka, jedyna która łączyła jakoś ten skrawek ziemi z otaczającym go światem i stanowiła świadectwo przerwane go istnienia nie zaś trwającej od niepamiętnych czasów nicości, tkwiła w przekrzywionych już i obsuwających się schodkach pod resztką muru rzymskiego obok lewego skrzydła ogrodu.

Nie zaraz, po przestąpieniu progu Wieży, potrafiłem odróżnić wejście na schody od usypanego pod ścianą rumowiska. Jak na dnie głębokiego leja skalnego, przydużony wzrok wymagał dłuższej chwili, by z gry płam świetlnych, cieni i czarnych zapadni ułożyć mapę półmroku. W powietrzu unosił się stęchły zapach wilgoci i ostry — zgnilizny.

Na szczęście schody okazały się mniej zbutwiałe, niż przypuszczałem. Wszedłem się po nich wolno nie doty-

kając poręczy i ocierając się plecami o mokrą ścianę, aż wreszcie na pierwszym zakręcie mogłem się uchwycić dłońmi krawędzi małego okienka. Widać stąd było część podwórza i mojego przewodnika, który rozpiął mundur na piersiach i wyciągnął się na trawie z twarzą zwróconą ku słońcu. Schody przebijały wyżej podłogę i wynurzały się na półpiętro, oświetlone przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Uchyliłem je szerzej, ale nie wszedłem do środka: był to najniższy pokój Wieży, pokój w którym mieszkała jego siostra.

Snop światła padł wprost na dalszy ciąg schodów w przeciwnym rogu sieni. Zatrzeszczały pod pierwszymi krokami tak złowrogo, że chciałem się cofnąć. Znowu też zgęstniał mrok. Ale gdy stałem niezdecydowany, tuż nad moją głową zerwał się szybki furkot i jak nożem rozpruł w ciemnym pułapie wąski otwór. Szczelina świetlna pochodziła z drzwi, pchniętych przez uciekającego ptaka. Pozostał po nim w pokoju na najwyższej kondygnacji Wieży jeszcze jeden ślad ucieczki: ruchoma deska w koszu za oknem, która od gwałtownego uderzenia chwiała się lekko na górnych gwoździach. Odsunąłem ją na bok: roztaczał się stąd łagodny krajobraz połoniny za torem kolejowym, zaproszony gdzieś resztkami mgły porannej i smugami dymów z palonych liści.

Mała cella miała kształt kwadratu i dopiero teraz zauważyłem w niej drugie okno, zasłonięte sztuką grubego sukna. Wychodziło na miasto i na wieniec wzgórz przed Gran San Bernardo z wbitymi dalej na widnokręgu w niebo białymi kłami właściwych szczytów. W czystym kryształcie górskiego tła dziwnej lekkości nabierały campanila obok kolegiaty i ośmiokątna wieżyczka klasztoru San Orso. Mieszkaniec celi nie wiedział pewnie, że chlubę kolegiaty stanowiło od wieków malowidło na lewej ścianie absydy *La miracolosa guarigione di una storpia nella ch'esa e processione*, a rzeźba na kapitelu jednej z kolumn krucjanki romańskiego w klasztorze wyobrażała trzy fazy plag cielesnych, jakimi Stwórca doświadczał Hioba.

W kącie między oknami stało niskie gołe łóżko, zupełnie już niemal przygnięcione do ziemi. Po drugiej stronie celi, za masywnym stołem i zydłem obciągniętym skórą, dotykała ściany podłużna rzeźbiona skrzynia, z gatunku tych co w domach chłopskich w Piemontcie spełniają równocześnie rolę szaf i ławek, a w razie potrzeby także legowisk na noc. Sufit załamywał się ukośnie nad glinianym piecem. Całość sprawiała wrażenie ciasnej klatki i ograniczała do niezbędnego minimum swobodę ruchów.

Naprawdę centralnym punktem celi był jednak wielki krucyfiks. Wisiał nie nad wezglowiem łóżka, lecz nad jego bokiem, tak by można się było modlić klęcząc na podłodze opierając się łokciami o posłanie. Krzyż z szerokich deszczulek pomalowanych na kolor hebanu dźwigał nieproporcjonalnie nawet do swoich rozmiarów okazałą figurę Chrystusa kutą w żelazie. Na pierwszy rzut oka chropowatości materiału, nieforemne zgrubienia żeber, oraz plamy rdzy i zaskorupiałego kurzu, wyglądały na wrzody okrywające całe ciało Ukrzyżowanego. Przechyloną nad miarę głowę Chrystusa ścisnęła zamiast korony cierniowej jakby duża czarna obrączka ślubna.

VI

Włoch zatrudniony w naszej misji wojskowej w Mediolanie nie powiedział całej prawdy o swym dalekim krewnym z domku pod Mucrone, i całej prawdy nie pozna zapewne nikt. Ale powiedzieć tylko tyle, że stary emeryt umarł tu zupełnie sam pod koniec wojny, to stanowczo za mało. Nasłuchawszy się po powrocie z Aosty opowiadań w pobliskiej wsi, zacząłem nawet *cum grano salis* brać słowo „umarł”: odpowiadało ono rzeczywistości zaledwie do pewnego stopnia, jeśli chodzi o sam fakt fizyczny. Absolutnie ściśle, więcej: przeraźliwie ściśle, było jedynie określenie: „zupełnie sam”.

O jego przeszłości wiadano niewiele. Był z pochodzenia Sycylijczykiem i zanim przeniesiono go po pierwszej wojnie do Turynu nauczał na Sycylii, gdzie w roku 1908, w słynnym trzęsieniu ziemi w Messynie, stracił całą bliską rodzinę — żonę i troje dzieci. Chodziły słuchy, że został przedterminowo emerytem po wywołaniu skandalu nieudaną próbą samobójczą. Kupił ten domek w 1938 roku od owdowiałego lekarza wiejskiego, którego synowie zabrali do Turynu, i natychmiast się tu sprowadził.

W ciągu sześciu ostatnich lat jego życia widziano go we wsi wszystkiego parę razy: nie otworzył ust do nikogo z wyjątkiem swoich stałych dostawców i nie odpowiadał na zwykłe w tych stronach pozdrowienia kierowane do nieznajomych. Choć całkowicie już posiwiały, trzymał się jeszcze dobrze i jego niezbyt wysoka, chuda postać budziła mimowolny respekt. Było przypuszczalnie w tym respekcie trochę obawy, gdyż jego oczy połyskiwały czasem ukrytym szaleństwem. Znano tu opowieści o skłonnym z natury do tragizmu charakterze Sycylijczyków, o tym że „myśl o śmierci noszą zawsze jak drzazgę za skórą”, i jego domek nazwano *La bara siciliana* — „trumną sycylijską”. Potem nazwa uprościła się do krótkiej *La Bara* i w tej formie przyjęła się ostatecznie. Co miesiąc wiejski goniec woził na rowerze z poczty pensję emerytalną do *La Bara*, co sobotę rano o tej samej godzinie córka karczmarza jeździła autobusem do *La Bara* z koszykiem prowiantu i na przepierkę: *il padrone della Bara* czekał na nią w najgorszą nawet niepogodę na skrzyżowaniu szosy ze ścieżką wiodącą na przełaj zboczem ku domkowi i pomagał jej nieść koszyk pod górę.

Raz tylko odwiedził go młody proboszcz wiejski. Rozmowa odbyła się na stojąco w ogródku i nie trwała długo. Na pytanie dlaczego nie przychodzi nigdy w niedziele do kościoła gospodarz, nie podnosząc głowy znad przyczynanych właśnie krzaków, odpowiedział że nie odczuwa potrzeby: to czego oczekuje wymaga nie wiary, lecz wyłącznie cierpliwości. Zapytany jak może tak żyć, odparł ze wzruszeniem ramion: — Bo nie mogę umrzeć.

W sierpniu 1944 roku spłynęły z południa do doliny Elvo resztki rozbitej dywizji SS, wyłapując gdzie się dało po wsiach mężczyzn na roboty do Niemiec. W całym rejonie istniało już wtedy coś w rodzaju partyzanckiej siatki informacyjnej i wieś u stóp Mucrone, ostrzeżona na czas, wyludniła się w nocy z środy na czwartek ze wszystkich mężczyzn: nawet starców uprowadzono w góry, zostawiając w domach tylko kobiety i dzieci, a na plebanii młodego duszpasterza. W piątek rano zjawiała się na ryneczku przed kościołem ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli. Spędzana stopniowo przez żołnierzy na plac ludność uprzytomniła sierżantowi szybko obraz sytuacji. Postanowił więc odcisnąć przynajmniej w pamięci kobiet i dzieci niezatartą lekcję i nie zabrakło mu fantazji: zapowiedział przez szofera ciężarówki znajdującego trochę włoski, że jeśli w ciągu dwóch godzin nie znajdzie się choć jeden męski mieszkaniec wsi, za ucieczkę ojców, mężów i synów zapłaci swoim życiem proboszcz.

Nie wiadomo dokładnie jak w pole widzenia tego dramatu wojennego wszedł samotny domek odległy o trzy kilometry od wsi: czy szepnęła o nim słówko kierowcy niemieckiemu któraś z kobiet, czy też zobaczył go ze skraju drogi wiejskiej jeden z żołnierzy. Dość że motocykl z przyczepką pomknął po zdobycz i wrócił z nią na placyk po piętnastu minutach.

Il padrone della Bara zdawał się nic nie rozumieć z tego co się wokół niego działo. Popychany przez żołnierza, szedł w kierunku sierżanta siedzącego na stopniu samochodu i tłumu tłoczącego się na schodach kościoła spokojny i swoim zwyczajem milczący, ale zarazem błądy i jak gdyby oszołomiony. Dopiero gdy żołnierz, puściwszy go na środku rynku, odstąpił kilka kroków w bok i na dźwięk komendy sierżanta uniósł lekko lufę sterzącą mu spod prawej pachy, gdy tłum kobiet i dzieci zakołysał się płaczącym lamentem, a ksiądz zaczął zmawiać modlitwę za umierającymi, dopiero wówczas stary człowiek zachwiał się nagle, chwycił się obiema rękami za serce i jego trzęsąca się twarz stała się jeszcze bielsza od włosów. Zawo-

dzenie w tłumie przycichło, sierżant i żołnierz gotowy do strzału spojrzeli na siebie bez słowa. *No, no, no* — jęczał stary człowiek poszarpanym głosem. Ksiądz przerwał modlitwę, przyglądał mu się chwilę, po czym zwrócił się w stronę szofera i powiedział głośno: — *Non ne è responsabile. Non è di qui, non è di questo paese.* Stary człowiek powtarzał monotennie: — *Non ne sono responsabile. Non sono di qui, non sono di questo paese.* Sierżant zapytał o coś tłumacza. — *È di Torino* — uprzedził jego odpowiedź ksiądz. — *Sono di Torino* — powtórzył jak echo stary człowiek. Nigdy nie słyszano tu z jego ust tylu słów naraz.

Reszta odbyła się błyskawicznie. Kiedy ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli znikła za zakrętem szosy prowadzącej ku miastu, na placu oslepiająco białym od słońca i kredowych fasad kościoła i małego Municipio leżał olbrzymi czarny ptak w kałuży krwi, z rozczapierzonymi na krzyż skrzydłami sutanny. Gromada kobiet i dzieci, zbита pod drzwiami kościoła, nie ruszała się z miejsca. Stary człowiek stał po przeciwnej stronie rynku sam, patrzył długo na księdza, wreszcie zakrył twarz dłońmi i ruszył z powrotem do domu.

Przez całe trzy kilometry szedł za nim w odległości kilkudziesięciu metrów, w spiekocie sierpnia i kurzu wijącej się pod górę drogi, tłum kobiet i dzieci. Stary człowiek często przystawał, parę razy się potknął, a raz nawet upadł i doczołgawszy się na kolanach do murku z kamieni, wparł się weń rękami i podniósł o własnych siłach. Tłum zatrzymywał się wtedy i czekał w milczeniu. Trwało to wszystko chyba godzinę. Słońce wskazywało południe, gdy pchnął z wysiłkiem bramę swego domku i stracono go natychmiast z oczu za drzewami obok żelaznego parkanu.

Nazajutrz była sobota i córka karczmarza nie pojechała do niego z koszykiem żywności. Nie miała zresztą po co. Bileter autobusu, nie spostrzegłszy go jak zwykle na skrzyżowaniu ścieżki z szosą, zatrzymał na chwilę wóz i zdjęty ciekawością podskoczył do *La Bara. Il padrone*

della Bara leżał na kozetce w swoim pokoju martwy. Był już zupełnie zimny.

VII

Wielokrotnie próbowałem napisać opowieść o ostatnich sześciu latach życia mieszkańca Wieży w Aości i zawsze odkładałem bezradnie pióro w połowie mniej więcej każdej nowej wersji. Jak de Maistre, nie potrafiłem sobie wyobrazić wiecznej samotności. I jak de Maistre'a, przejmowała mnie ona przerażeniem.

„Niekiedy podczas snu — powiada poeta — to co w nim oglądamy i przeżywamy uderza nas jako coś nieistniejącego i równocześnie bardziej niż realnego. Porażeni paraliżem, zatrzymujemy się niepewnie na granicy nocy i dnia; gdy otwieramy wreszcie oczy, na ułamek sekundy tracimy pewność, który z dwóch obrazów był prawdziwy: ten który się właśnie rozchwiał, czy ten który zajął jego miejsce. O tym niewymiernie krótkim momencie zawieszenia usiłuję myśleć, ilekroć chcę sobie wyobrazić godzinę mojej śmierci”.

To był może jedyny klucz do przedstawienia sobie wiecznej samotności — ów moment zawieszenia między nocą a dniem, między snieniem a jawą, przedłużony w nieskończoność. Czyli sen śmierci w otoczonej morzem Wieży, z którego budzi dopiero niepojęty skurcz strachu w obliczu rzeczywistej śmierci. De Maistre użył do swej opowieści motta z „The Seasons. Winter” osiemnastowiecznego Jamesa Thomsona; ja chciałem użyć do mojej dwuwiersza z „City of Dreadful Night” jego imiennika, dziewiętnastowiecznego Jamesa Thomsona:

*For life is but a dream whose shapes return
Some frequently, some seldom, some by night...*

Nie zdołałem też nigdy ustalić okoliczności w jakich umarł Pier Bernardo Guasco, choć nie raz jeszcze po wojnie zaczynałem w moich podróżach o Aostę. Natknąłem się jedynie na dwa warianty. Jeden głosił, że na krótko przed śmiercią Trędowaty przestał przyjmować żywność i samozagłodzeniem przyspieszył koniec swoich dni. Drugi, że w pochmurną marcową noc wyszedł z lampą w dłoni na pustą ulicę, ale spotkawszy dalej paru spóźnionych przechodniów, uciekł z powrotem do Wieży ścigany kamieniami i przekleństwami, i wkrótce potem zakończył życie. Ze wzruszeniem i uśmiechem rozpoznałem w obu tych wariantach niezrównaną zdolność ludu do ciągłego przerabiania starych legend: tak oto w nowej postaci odżyły dwa podania dawnej Aosty — historia zagłodzenia księżniczki di Braganza w Bramafan i historia białej damy z *Torre dello Spavento*.

Nie żałuję że nie udało mi się napisać opowieści o mieszkańcu Wieży. Gdyby nie było w życiu ludzkim na ziemi rzeczy, wobec których nasza wyobraźnia rozkłada ręce, musielibyśmy w końcu złorzeczyć rozpacz prze-nikającej literaturę zamiast szukać w jej utworach nadziei. Ale często, gdy przemykam oczy, myślę o Trędowatym z Aosty. Lubię go sobie wyobrażać jak dociera wreszcie na klęczkach na szczyt Świętego Krzyża i z okrzykiem triumfu osuwa się, bezgranicznie zdrożony i sterany przez czas, na nagie skały. Ten krzyk ginie natychmiast w ogłuszającym huku końca świata.

Neapol, 1958.

PIETÀ DELL'ISOLA

*Verlassen sind wir doch wie
verirrte Kinder im Walde. Wenn
Du vor mir stehst und mich
ansiehst, was weisst Du von den
Schmerzen die in mir sind, und
was weiss ich von Deinen? Und
wenn ich mir vor dir niederwerfen
würde und weinen und erzählen,
was wüsstest Du von mir mehr
als von der Hölle, wenn dir jemand
erzählt, sie ist he'ss und fürchter-
lich? Schon darum sollten wir
Menschen vor einander so ehr-
fürchtig, so nachdenklich, so lie-
bend stehn wie vor dem Eingang
zur Hölle.*

Franz Kafka:

List do Oskara Pollaka (1903).

Choć zaczęła się już druga połowa maja 1950 roku, niewiele tu jeszcze turystów. Raz dziennie, gdy przychodzi statek z Neapolu, kolejka linowa wyciąga niby podrywka z przystani na Placyk kilkanaście osób, które zatrzymują się na chwilę między stolikami jedynej kawiarni, przebiegają szybkim spojrzeniem po siedzących, zadzierają głowy ku wieży zegarowej jakby chciały dokładnie zapamiętać godzinę swego przybycia, i odpływają w głąb Wyspy wąskimi uliczkami i drózkami.

Na Wyspie trwa ciągle słoneczny chłód. Między późnym popołudniem a zmierzchem, w miarę jak słońce zbliża się ku zasłonie wieczoru (którą tutaj jest góra zwana Słoneczną), ludzie przy stolikach kawiarni usuwają się stopniowo z rewirów pogrążających się w cieniu, szukając na Placyku plam ogrzewanych jeszcze blaskiem zachodu. Rano tylko niektórzy przybysze z krajów Północy schodzą nad morze; ale nawet oni wracają natychmiast po kąpieli do miasteczka, tam gdzie oczekuje się cierpliwie sezonu nie próbując go siłą przyspieszyć.

Wiosna w tym roku nadeszła późno. Był gorący, niemal upalny, styczeń i luty, potem spadły zimne deszcze, w marcu i w kwietniu niebo skryło się za niskimi chmurami, powietrze stało się podobne do zakopconego szkiełka lampy naftowej i w niejednym na Wyspie domu płonął ogień w kominku. Morze koloru farbki rozpuszczonej w brudnych mydlinach szarpało monotonna nadbrzeżne

skały. Rzadko widywano mgliste kontury lądu stałego i sąsiednich wysp.

Dopiero na początku maja czysty i suchy wiatr przy-
niósł Wyspie jej spóźnioną wiosnę. Ucichło morze —
lekko pomarszczone z rana, spryskane słońcem w południe,
przylegające do brzegów płatami przezroczystej śniedzi.
Roślinność ogrodów, winnic, pinet i gajów owocowych
zaśniła na tle lwiej żółci urwisk skalnych i nagich głowic
górskich. We wszystkich grotach — Zielonej, Błękitnej
i Fioletowej — ożyła znowu magia wody, kamienia i ta-
jemnych filtrów nieba przesączającego się z zewnątrz.
Jak stop szkła i metalu dźwięczały dzwony w kościołach.

Wyspa położona jest w odległości trzech godzin
jazdy statkiem od Neapolu i dla turystów nie posiada
żadnych osobiwości poza startymi już prawie z powierz-
chni ziemi ruinami paru willi rzymskich i średniowieczną
Certosą. Turyści nie przyjeżdżają tu jednak nigdy z prze-
wodnikami i książkami historycznymi. Dla nich Wyspa
to przede wszystkim „perła śródziemnomorska” z prospet-
tów biur podróży, miejsce gdzie morze jest najczystsze
i najpiękniejsze w całej zatoce neapolitańskiej, gdzie w
sezonie słońce pali skórę przez dziesięć nieprzerwanych
godzin w ciągu dnia, gdzie różowe wino pobudza w żyłach
krew do szybszego krążenia, gdzie domki są gipsowo białe
i poznaczone w jarzącym się świetle kolorowymi okienni-
cami, gdzie drewniane trepy uderzają przyjemnie o chod-
niki, gdzie do podziemnych grot wjeżdża się łódką jak do
królestwa srebrnych cieni, gdzie miękko brzmią słowa pio-
senek, gdzie noce są leniwe i duszne, migocą daleko na
horyzoncie światłami Neapolu a wokół Wyspy *lamparami*
łodzi rybackich, gdzie podczas pełni księżyca jest czerwony
i, jak serce krateru ostatnimi przygasłymi już odpryskami
lawy, otoczony drżącymi gwiazdami. Tylko wieczorami,
gdy dwie godziny po zmierzchu a przed zapadnięciem cie-
mności pozostają puste, turyści wspinają się czasem ku
resztkom rzymskiej przeszłości skąd roztacza się najrozle-
glejszy widok na Wyspę i zatokę, lub okrążają powolnym

spacerem Certosę na jedynym obszernym *plateau* między morzem a miasteczkiem.

Inaczej dla mieszkańców Wyspy. Utrzymując się głównie z turystyki, także oni przystosowali rytm swego życia bardziej niż do uprawy ziemi czy do połowów, do podrwyki wyciągającej w sezonie z przystani na Placyk setki przybyszów z łądu stałego; ziemia jest tu zresztą jałowa, gdzieniedzie — po usunięciu wierzchniej warstwy kamieni na budowę — udało się ją zmusić do przyjęcia małych winnic, poletek zbożowych, ogródków warzywnych i drzew oliwkowych, cytrynowych lub pomarańczowych, a sieci zarzucane blisko brzegów Wyspy skąpo srebrzą się rybą. Ale właśnie dlatego dla tubylców puste pozostają nie dwie godziny między szarówką a mrokiem, lecz wszystkie długie miesiące po zakończeniu sezonu. Żyją wówczas sam na sam ze swoją Wyspą.

Jej historia nie sięga w ich wyobraźni plastycznie aż do czasów, gdy władcy i patrycjusze Rzymu zbudowali kilka willi na dwóch antypodach Wyspy, zwanych dziś *Monte della Madonna dei Marini* i *Monte del Faro*. Jeśli lubią te miejsca odwiedzać to nie jedynie dla odsłoniętych łopatami archeologów szczątków starożytnych murów, lub leżących w trawie fragmentów fryzów, bezrękich posągów i marmurowych wanien; przyjemność sprawia im również zobaczenie wysokiej smukłej Madonny, która stojąc tuż nad przepaścią twarzą ku morzu, ochrania wzniesionymi dłońmi żeglarzy przed burzami i wichrami, a obok Niej — maleńkiego kościółka gdzie latem Padre Rocca odprawia niekiedy msze w obecności jednej zaledwie osoby; na przeciwnym krańcu Wyspy zaś — zobaczenie latarni morskiej, która światłem reflektorów spełnia w inny sposób tę samą funkcję co Opiekunka Żeglarzy swoimi podłużnymi dłońmi i słodkimi oczami.

Bardziej żywa jest w umysłach i uczuciach mieszkańców Wyspy średniowieczna Certosa. Stąd co roku 19 września wyrusza na noszach opartych o barki czterech *Certosini* wielka, rzeźbiona w drzewie i polichromowana *Pietà dell'Isola*, Matka podtrzymująca omdlałymi rękami

Swego zdjętego z krzyża Syna. Za bramą do orszaku czterech mnichów przyłącza się czekający tłum, i wśród pękających na niebie rac i fajerwerków, wśród kwiatów i bibułkowych zwojów rzucanych przez biało ubrane dzieci, przy śpiewie i biciu w dzwony, procesja posuwa się wolno, w takt pełnych wysiłku kroków niosących, pod górę do głównego kościoła na Placyku. Wieczorem cały Placyk iluminowany jest wielobarwnymi lampkami. Dzień w którym *Pietà dell'Isola* odbywa drogę z Certosy do głównego kościoła i z powrotem jest tu największym świętem i zarazem punktem kulminacyjnym sezonu. Wkrótce potem turyści zaczynają opuszczać Wyspę i wielu z nich, zwłaszcza pochodzących z krajów Północy, wynosi jak pożegnalny akord swoich wakacji wspomnienie owej dziwnej festy, nie mogąc ani zrozumieć ani przyjąć kontrastu między pogodnym usposobieniem wiernych a symbolem cierpienia i bólu niesionym z takim trudem przez czterech zakonników.

Dzieje Certosy i tego obrzędu wymagają jednak osobnego i dokładniejszego opisu.

II

Powstała w XIV stuleciu. Zbudował ją własnym sumptem przedstawiciel najmożniejszego na Wyspie rodu, pełniący w pobliskim Neapolu funkcje sekretarza Joanny I Andegawieńskiej, dla uczczenia narodzin syna pierworodnego. Wyposażył ją w ziemię, dary, bulle papieskie, prerogatywy kościelne i liczne przywileje, by na wieczne czasy zabezpieczyć jej doczesne i duchowe dziedzictwo.

Miejsca nie można było wybrać lepiej. W zgodzie z regułą życia klasztornej i troską o zbawienie duszy było to, że oczy mnichów z okienek w celach nie sięgały dalej niż do łukowatej linii brzegu i ledwie dostrzegalnego za nią skrawka morza na widnokręgu, a po bokach odgradały je od świata dwa wzgórza porośnięte piniami i oliw-

kami. W zgodzie zaś z regułą czasów wojenno-pirackich i troską o ocalenie ciała to, że niskie i dość ukryte położenie Certosy osłaniało ją przed wzrokiem i orężem Saracenów.

Ale nie przyniosła spodziewanego szczęścia swemu założycielowi. Po detronizacji i zamordowaniu Joanny Andegawieńskiej skazano go na banicję, pozbawiono wszystkich dóbr, i tylko w drodze wyjątkowej łaski uzyskał tyle iż dozwolono mu jako pokutnikowi i pielgrzymowi oczekiwać śmierci za tymi samymi murami, które z wdzięczności za pierwszego potomka kazał być przed laty wzniesić ku większej potędze Nieba wśród potomnych. Wykupiwszy z niewoli jego syna, mnisi dali również swemu pośredniemu dobroczyńcy schronienie w Certosie. W ten sposób, jak założyciel Certosy spłacił niegdyś dług Opatrzności za swoje krótkotrwałe szczęście na ziemi, tak Certosa wyrównała z nim później rachunki gdy mądra Opatrzność zaniedbała jego świeckie sprawy by go wraz z synem pchnąć na służbę Chwały i Tronu trwalszych niż te którym dotąd służył; i na drogę szczęścia nie tak co prawda błyszczącego światowymi splendorami i doraźnymi korzyściami, lecz w zamian za to o ileż prawdziwszego i mniej efemerycznego.

Jeśli wierzyć współczesnym mu kronikarzom, zamieniwszy płaszcz książęcy na szatę pokutniczą twórca Certosy zrozumiał tę lekcję lepiej od swoich protektorów i gospodarzy: był za murami jedynym wielkim i szczerym penitentem. Bogactwo Certosy, znaczne już za sprawą jego darowizn fundacyjnych, rosło nieustannie i nie pozostało bez wpływu — zgubnego w opinii kronik — na życie kilkunastu mnichów: otoczeni sługami, podnieceni rosnącymi dochodami z ziem uprawnnych (zwłaszcza winnic), zapominali stopniowo o celach swojej klasztornej izolacji od świata i stali się w końcu gospodarczymi panami Wyspy, wyciskając ją jak winne grona tłokami podatków oraz dzierżaw i rzadko tylko wspomagając nędzarzy.

Także tym razem wmieszał się palec Boży, lecz na jego interwencję trzeba było czekać blisko dwa wieki. Mimo dogodnego i bezpiecznego zdawałoby się położenia

Certosa, w połowie XVI stulecia spalił ją i złupił doszczętnie słynny Dragut. Dziesięć lat trwała jej odbudowa, zakończona wzniesieniem dodatkowej wieży z której widać było nareszcie całe morskie przedpole. Do swej dawnej zamożności Certosa wróciła po dżumie 1656 roku, otrzymawszy zapisy po wszystkich wymarłych bez spadkobierców rodzinach Wyspy. Zaczął się znowu okres zgubnej dla wszelkich eremitów pomyślności materialnej, połączony z otwartą nieraz walką jaką przeciw mnichom prowadziło ubogie duchowieństwo Wyspy, toteż gdy w roku 1807 Józef Bonaparte zniósł klasztor i skonfiskował ich posiadłości, nikt na Wyspie (z wyjątkiem, przypuszczalnie, samych mnichów) nie uronił łzy nad skazaną na śmierć Certosą. Nie odwołała tego wyroku nawet restauracja Burbonów. Końcowi świetności Certosa towarzyszył niezwykle znak Opatrzności: kiedy w roku 1808 *Certosini* opuszczali Wyspę, zawaliła się wieża zbudowana w XVI stuleciu z myślą o obronie przed piratami. Kronikarzom Wyspy przypomniało to, że na parę dni przed śmiercią imperatora rzymskiego w willi na obecnej *Monte della Madonna dei Marini* runęła wieża z latarnią sygnalizacyjną w miejscu gdzie dziś czuwa Opiekunka Żeglarzy.

Niechęć do Certosa nie była jednak podsycana wyłącznie przez chciwstwo i materialny egoizm mnichów; sięgała głębiej, do wypadków z roku 1656 które odsłoniły także inne oblicze ich egoizmu, stokroć bardziej jeszcze nie licujące z powołaniem rycerzy zastępów Bożych.

Od paru już miesięcy dżuma zbierała obfite żniwo w Neapolu. Na ulicach i w zaułkach walały się pod ścianami domów porzucone trupy, coraz rzadziej przyjeżdżały po nie furgony cmentarne, ludzie wymijali się z daleka, opustoszały kościoły, lament żałobny mieszał się w powietrzu z czarnym dymem łóżek, sienników i ubrań palonych po zmarłych na zarazę. Może tylko te czarne kłęby dymu, żeglujące wolno przy bezwietrznej pogodzie pod nieskazitelnym niebem neapolitańskim i przybierające często groźne kształty ni to ludzkich ni zwierzęcych figur, nie pozwalały zapomnieć mieszkańcom Wyspy, wpatrze-

nym w sklepienie zatoki, o biczu który chłostał bezlitośnie miasto na lądzie stałym. Na szczęście, niosąc na Wyspę wieść o dżumie, nie miały sposobów by ponieść samą dżumę. Wyspa żyła w ciągłej trwodze, lecz dnie płynące ociężale, jak owe chorągwie pogrzebowe z dymnego kiru, utwierdzały ją powoli w przekonaniu, że można przecież ufać puklerzowi morza choć jakże był cienki i słaby wobec uderzeń wroga! Wolno sądzić że mimo swej odwiecznej zażyłości z morzem, mimo wielu dobrodziejstw jakie mu i dawniej zawdzięczali, dopiero wówczas mieszkańcy Wyspy pokochali je naprawdę.

Zawiodło ich i pękło, nie wytrzymawszy dłużej ciosów, w początkach czerwca. Istnieją dwa rywalizujące ze sobą opisy podstępu użytego przez dżumę dla złamania morskiej zbroi Wyspy i przedarcia się do obozu oblężonych, w obu jednak postać narzeczonego — nieśmiertelnego włoskiego *promesso sposo* — odgrywa główną rolę. Pierwszy naręczony przekradł się z Neapolu na Wyspę by na miejscu pilnować wiana swej przyszłej żony, i wraz z własnym bakcylem posiadania zawlókł tam neapolitański bakcyl dżumy. Drugi był bohaterem historii znacznie bardziej romantycznej: jeszcze przed wybuchem zarazy zesłano go z Neapolu na Wyspę za udział w powstaniu ludowym Masaniella przeciw Hiszpanom, a w okresie dżumy otrzymał od rodziny swej zmarłej w Neapolu wybranej list z lokiem jej włosów. Poza przemawiającą żywiej do wyobraźni romantycznością tej drugiej wersji, wydaje się ona bliższa naturze plag i kataklizmów w których los tysięcy ludzi wisi zawsze na włosku.

1 czerwca, na trzy dni przed pojawieniem się dżumy, zachowany do dziś w archiwum spis ludności Wyspy wymieniał cyfrę 1588 mieszkańców. 1 listopada, gdy od tygodnia nie zanotowano ani jednego wypadku śmierci lub zachorowania i uznano zarazę za wygasłą, Wyspa liczyła podług nowego smutnego spisu 1023 mieszkańców. Największa śmiertelność przypadła na upalny sierpień, który w rejestrach archiwalnych odcisnął się liczbą 137 ofiar.

4 czerwca, na wiadomość o wylądowaniu dżumy, osiemnastu mnichów zamknęło na wszystkie spusty bramę Certosy i odcięło się od świata, tworząc chronioną grubymi murami wyspę na Wyspie. Mieszkańcy Wyspy oniemieli ze zgrozy: jeśli kiedykolwiek klasztorna reguła odosobnienia i odwrócenia się plecami od ziemskich spraw była bardziej ucieczką od Krzyża niż jego przyjęciem, to właśnie w owych czasach dopustu Bożego. Nie chodziło jedynie o zasoby Certosy, chociaż przy paraliżowanym stopniowo rolnictwie i rybołówstwie na Wyspie i one musiały mieć swoją wagę. Chodziło także — a może nawet głównie — o uczestnictwo w cierpieniu, niebezpieczeństwie i śmierci. Nic tak nie rozjättra ludzkich serc, jak widok ramion uchylających się od dźwignięcia wspólnego losu. Neapol mógł patrzeć na nietkniętą jeszcze dżumą Wyspę najwyżej z goryczą i zawiścią; z zacieśnianiem się obręczy nieszczęścia Wyspa musiała patrzeć na *własną* wyspę za murami Certosy już tylko z nieskrępowaną niczym nawiścią.

Początkowo dawała jej dowody w rzucanych z ukosa spojrzeniach na tę ogromną masę szarego kamienia milczącą wśród pomoru z obojętną wzgardą jak niezdobywalny zamek warowny, ale w lipcu gniewna rozpacz popchnęła ją do jaskrawszego zamanifestowania tłumionych dotąd siłą uczuć. Z świadectw kronikarzy czerpiemy informację, że 13 lipca po zmroku nieznani sprawcy wrzucili przez mur do Certosy zwłoki dwóch zadżumionych. Do końca tego miesiąca nowowynaleziony proceder zachował charakter sporadyczny i skryty. Dopiero w sierpniu, okresie nagłego wzrostu zgonów, natarcie trupów na Certosę rozgorzało na dobre i nie odbywało się już pod osłoną nocy, lecz jawnie — przy pełnym ogniu *solleone*, najgwałtowniejszego słońca Południa. Z *Chiostro Grande* garstka osaczonych przez śmierć mnichów przeniosła się do *Chiostro Piccolo*. Na próżno: również tam docierała kolumna martwych obłązycieli wąską ścieżką między bocznym murem a urwistym stokiem jednego ze wzgórz. Cofającym się pozostała ostatnia reduta względnie obronna —

Giardino del Priore, ogród przeora położony na krawędzi nawisu opadającego stromo ku morzu i niedostępny od zewnątrz. Któż jednak mógł zaręczyć, że zaraza nie przeniknie od umarłych rozkładających się w słońcu na dziedzińcach obu klasztorów do żywych przyczajonych bojaźliwie w Ogrodzie Przeora za pośrednictwem much, ptaków i jaszczurek? Lub co gorzej — za pośrednictwem odwiecznych roznosicieli dżumy, szczurów, które gnieździły się w spichrzach, spiżarniach i zastawionych kadziami i beczkami win piwnicach między ogrodem a *Chiosstro Piccolo*? Wieża wartownicza zbudowana przed stu laty po zniszczeniu Certosy przez piratów nie służyła teraz niczemu, gdyż ani nowy najeźdźca nie nadciągał od strony morza, ani nie sposób go było zobaczyć skradającego się z głębi Wyspy; od miesiąca już, niewidzialny, znajdował się w obrębie samej twierdzy.

Tylko дума, ten wróg pokory z której szyje się ponoć habity, nie pozwalała przypartym w końcu do własnych murów ochronnych mnichom przyznać się do błędu, otworzyć bramę Certosy i z karkami zgiętymi skrucą przekroczyć wał trupów który ich dzielił od powodzi łez i cierpień rozlanej na Wyspie. Czekali na pretekst. Zjawił się w drugiej połowie września.

W pierwszych dniach września spadła wprawdzie śmiertelność i w serca wstąpiła otucha na widok dwóch nowych kapliczek przydrożnych wzniesionych za radą biskupa Wyspy ku czci San Rocco i San Sebastiano, protektorów przeciw dżumie, lecz zaraz potem stała się rzecz najstraszniejsza: trzech jedynych na Wyspie księży zmarło kolejno po sobie w ciągu tygodnia. Strach owładnął wiernymi i zmroził im krew w żyłach. Był to złowróżbny znak Opatrzności szykującej się do świeżych spustoszeń? Nie dość jeszcze wysoką zapłacili cenę za wszystkie swoje grzechy, by odtąd nie słyszeć nawet dzwonów kościelnych, umierać bez Sakramentu i bez Sakramentu odmykać przed niewinnymi niemowlętami ten okrutny świat?

Właśnie wtedy biskup Wyspy napisał list do przeora Certosy z błagalną i uniżoną prośbą o wysłanie za mury

trzech lub czterech mnichów dla zastąpienia zmarłych księży. Ocalała w archiwum odpowiedź przeora. W powściągliwych słowach — jakże nienasycona jest pycha, gdy dzieło przypadku daje jej pokryć tajoną słabość i uratować samą siebie! — zgadzał się w imieniu podległych mu braci „*di ponere la vita per il prossimo non ostante che sia ministerio repugnante alla nostra professione*”, ofiarować życie dla bliźnich choć jest to kapłaństwo wstrętne naszemu powołaniu”.

19 września rano otworzyła się brama Certosy. Czterech mnichów wyszło wolno za próg, nad ich głowami kołysała się na zbitych na prędcę z drzewa noszach słynna *Pietà dell'Isola*, rzeźba dłuta nieznanego mistrza ze Sieny, zakupiona w XVI stuleciu przez klasztor dla upamiętnienia roku odbudowy. W łagodniejszym już słońcu tego miesiąca każdy kolor wytartej nieco polichromii nabrał pełnego tonu, zaświeciła złotymi splotami włosów *Mater Dolorosa*, i tylko długie wychudłe ciało Syna stało się jeszcze bardziej szare, jakby przed wyjściem na światło dzienne posypano je popiołem. W kaplicy Certosy odezwał się cienkim, srebrnym głosem mały dzwon. *Certosini* przystanęli na chwilę, spojrzeli na nieżyciliwe twarze grupki znieruchomiałych naraz przechodniów i widząc że daremnie liczyli na zdjęcie z ich ramion świętego ciężaru na znak pojednania, ruszyli do głównego kościoła, zatrzymując się często po drodze i ocierając rękawami habitów strużki potu na czołach. Przybywszy do celu swej Kalwarii, odprawili mszę i zostali wśród mieszkańców Wyspy. Ale mimo że w październiku, w ostatnich dniach dogasania dżumy, dwóch z nich istotnie „ofiarowało życie dla bliźnich”, ani wtedy ani później nic już nie zdołało w oczach Wyspy zmasać hańby „powołania które brzydziło się podobnym kapłaństwem”. Nie jedną cegłę do muru, jaki po dżumie dopiero wyrósł na wieki między Certosą a Wyspą, dołożyła zapewne okoliczność, że ci których serca zadrżały małoduszny lękiem w obliczu plagi, znaleźli w nich przecież dość odwagi by nadstawić ręce gdy nadarzyła się sposobność wyciągnięcia z niej zysków: na mocy sta-

rego Nadania Andegaweńskiego Certosa otrzymała wszystkie na Wyspie dobra ogołocone przez zarazę z prawych właścicieli i naturalnych dziedziców.

Tak oto Certosa dopłynęła do końca swoich sławnych i burzliwych dziejów, zadekretowanego przez Józefa Bonaparte i przyjętego z ulgą przez Wyspę. Zawiodły wszelkie próby jej wskrzeszenia, a powolna dekadencja jaką zgutowała jej nowa epoka nie mogła być zaiste bardziej żałosna: zamieniono ją najpierw na więzienie, potem na przytułek dla inwalidów i kalek, i wreszcie — w roku 1860 — na koszary dla karnej kompanii wojska. Gdzie niegdyś trwała w ciągu stuleci cisza modlitwy i klasztornego dosytu, tam rozległ się kolejno różaniec kajdaniarski, stukot protez i syk złorzeczeń, szczęk broni i zgrzyt przekleństw żołdackich. I kto wie czy Bogu dżumy, Bogu niedoli zsyłanej na człowieka by mu pod odwykającymi stopami przypominać ciągle ciemnie i ostre kamienie wędrówki ziemskiej, nie był ten dźwięk miłszy niż klask sandałów mnisich w podcieniach krużganków *Chiostro Grande* i *Chiostro Piccolo*, brzęk dukatów w trzosach Certosy i przerażony szept zbieleiałych warg w kryjówce *Giardino del Priore*.

A jednak Certosa odżyła — nie w dawnej co prawda świetności, lecz odżyła — u progu pierwszej wojny światowej. Za zgodą władz Wyspy przybyło z klasztoru między Pizą a Luccą czterech mnichów i oni to, zapoznawszy się z historią Certosy, z własnej woli postanowili każdego 19 września schylać się pokornie pod rzeźbą *Pietà dell'Isola* przenoszoną w procesji do kościoła i z powrotem, jakby dla symbolicznego odkupienia grzechu swych poprzedników z 1656 roku. Milcząca umowa chciała, że nikt z wyjątkiem nich nie miał prawa dotykać uchwytów noszy na których Matka Bolesna ścisnęła w ramionach martwe ciało Odkupiciela. Gdy jeden z mnichów umierał, z łądu stałego przyjeżdżał na jego miejsce inny. *Festa* 19 września przyjęła się szybko i stała się nieodłączną częścią życia mieszkańców Wyspy. W pierwszych latach, za sprawą wojny, widziano może w rzeźbie sienneńskiego

mistrza prócz przypomnienia epizodu sprzed dwóch i pół przeszło stuleci obraz kobiety podnoszącej z pola bitwy zwłoki ojca, męża lub syna. Później odkryto pewnie turystyczne zalety obrzędu, zamykającego egzotyczną dla cudzoziemców klamrą sezon na Wyspie. Jeszcze później, druga wojna światowa odnowiła przypuszczalnie wymowę, jaką *Pietà dell'Isola* posiadała w okresie poprzedniej. Ale do wszystkich tych czynników trzeba dodać najważniejszy: na Południu, gdzie samotność ludzka postawiona wobec Boga i Natury, w obliczu tajemnicy Życia i Śmierci, lubuje się w cudach, w magii ludowej wsi lukańskich i kalabryjskich, w potędze *iettatury*, *malocchio* i odczyniania złych uroków, w *teschi miracolosi* z katakumb neapolitańskiej *Santa Maria della Sanità*, w dramatycznych procesjach pasyjnych, w posępnym weryźmie narzędzi Męki Pańskiej obnoszonych przed Wielkanocą na Sycylii i Sardynii — na tym Południu musiała zwrócić uwagę Wyspy osobliwa zbieżność dat; gdyż 19 września w sąsiednim Neapolu odbywał się co roku *Miracolo di San Gennaro*. Jak nie podejrzewać, że ponad zatoką zadziergnęła się natychmiast nić pomiędzy tłumem eskortującym na Wyspie orszak z Certosy, a tłumem klaszczącym i wiwatującym tegoż dnia w Neapolu na wiadomość że upłynęła się znowu zakrzepła krew Świętego Męczennika z Pozzuoli?

Certosa była teraz biedna i pozbawiona wszystkich swych dawnych majątności. Jej nowi rezydenci założyli tylko z trudem małą winnicę w zdziczałym i stratowanym Ogrodzie Przeora. Codziennie jeden z mnichów z sakiewką jałmużniczą wyruszał na kwestę wśród pasażerów statku kursującego między Wyspą a Neapolem i wśród przechodniów w samym Neapolu. Brakowało środków na usunięcie zniszczeń wewnątrz murów. Jedyne sam mur, postrzępiony i dziurawy w wielu miejscach, doprowadził do względnie pierwotnego stanu w roku 1933 (siedemnaście lat przed wypadkami z których wzięła źródło niniejsza opowieść) najlepszy na Wyspie majster, Sebastiano. Była to jego ostatnia duża robota, na krótko przed jej ukończeniem

nastąpiła tragedia, i przez pewien czas nawet pod wpływem Immacolaty mieszkańcy Wyspy znowu z zabobonną urazą patrzyli na Certosę.

Cóż jeszcze wypada tu opisać? Certosę, jej słynną rzeźbę i na zakończenie tego rozdziału — samą Wyspę ogladaną z wysoka, ze szczytu *Monte della Madonna dei Marini*.

Certosa robi z daleka wrażenie szarej, ciężkiej i masywnej fortecy, ale kto podejdzie do niej bliżej, zobaczy że poza ogromem niewiele ją odróżnia od architektury całej Wyspy. Wszystkie dachy mają tu także formę sklepień podobną do odwróconych szuflí drewnianych — pamiątkę czasów, gdy w wodę zaopatrywano się dzięki deszczom, odprowadzając ją ściekami dokoła sklepionych dachów do ustawionych na ziemi zbiorników; dziś zachowała swą użyteczność tylko druga funkcja dachów budowanych w kształcie półkopulastych sklepień, a mianowicie rozłożenie na jak największą powierzchnię żaru słonecznego. *Torre dell'Orologio* jest tak samo jak w innych na Wyspie wieżyczkach związana trójkątnym, pokrętnym szpicem.

Nieznany autor *Pietà dell'Isola* musiał pilnie studiować rzeźby i obrazy swoich poprzedników i współczesnych na ten sam temat, zanim dotknął dłutem drzewa. Nie jest to dzieło oryginalne. W układzie Matki przypomina od pierwszego wejrzenia klasycyzującego Michała Anioła z Bazyliki Świętego Piotra, przed jego dramatycznymi formami z *Pietà di Palestrina* i *Pietà del Duomo di Firenze*. W układzie Chrystusa natomiast trzyma się nie tradycji ciała przegiętego miękko jak wstęga na wyciągniętych rękach, lecz starszej tradycji ciała zeszywniałego i naprężonego w idealnym niemal poziomie. Twarz Madonny, obramowana złotymi lokami wymykającymi się spod czarnej chustki która opada Jej na ramiona, jest smutna a jednak dziwnie uspokojona jak w *Pietà di San Giusto* Perugina; Jej oczy i usta zdają się pocałunkiem przywierać do rozchylonych w bólu i pragnieniu warg Syna. Bierze ochota uwierzyć że mistrz sieneński czytał

Laudi trzynastowiecznego Iacopone da Todi i podczas pracy powtarzał sobie z nich często te dwa wersety, w których „Matka i Syn jedno mają pogrzebanie” i „jedną objęci śmiercią, wspólne w bólu ukrzyżowanie”.

Kiedy Padre Rocca, który jest rodem z Mantui, ogarnia wzrokiem Wyspę przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca z małego *belvedere* opodal swego kościołka i plebanii, przychodzi mu na myśl (mimo trzydziestu już spędzonych tu lat) to samo ciągle spostrzeżenie: „Na pozór jest to typowy krajobraz śródziemnomorski, taki jakim go widzieli i przedstawili malarze i poeci romantyczni z początków ubiegłego stulecia; a przecież wystarczy wpatrywać się długo w te dojrzałe i słodkie cienie skał, drzew i domów, przyprószone po złotą światła i drżące w odbłasku purpurowego na chwilę morza, by zrozumieć że tkwi w nim również coś klasycznego”.

III

Sebastiano miał trzydzieści lat, kiedy powierzono mu naprawę muru Certosy. Urodził się na Wyspie. Był jedynym synem rybaka a w sezonie przewoźnika turystów do Zielonej Groty, ale wcześniej osierocony (także przez matkę) krótko tylko dziedziczył łódkę i oba zawody ojca. Po odbyciu służby wojskowej w Livorno i Florencji sprzedał łódkę i sieci, wynajął domek rodzinny koło *Monte del Faro* i przeniósł się do Neapolu na naukę murarki. Przeżył tam pięć lat, pracując najpierw jako pomocnik murarski a potem jako młody majster przy odsłanianiu z barokowych narośli flamandzko-gotyckiego kościoła *Santa Maria Donnaregina* w starej części miasta.

Wróciwszy na Wyspę, zasłynął szybko znawstwem swego fachu i sumiennością w wykonywaniu robót; chociaż rozkwit budownictwa na Wyspie (który trwał przez całe ubiegłe stulecie, gdy ją „odkryli” angielscy i niemieccy

podróżnicy) wkroczył już od dawna w fazę stopniowego uwiąznięcia, Sebastiano nie musiał nigdy czekać zbyt długo na wezwanie w domku u stóp Latarni Morskiej lub w barze na Placyku. Nie pociągały go jednak proste zamówienia miejscowe. Odkąd za żołnierskich czasów oglądał kościoły w Florencji, a w Neapolu spędzał codziennie godzinę przerwy obiadowej w chłodnej nawie *Donnareginy*, wpatrzony z zachwytem w grobowiec Marii Węgierskiej dłuta Tino di Camaino i w freski Cavalliniego, lub zachodził do bocznej *Cappella Loffredo* ozdobionej freskami uczniów Giotto i Cimabue, marzył o innej dla siebie pracy. Nie podobna było spodziewać się jej na Wyspie, toteż w wolnych chwilach kuł w kamieniu (oblitym tu jak nigdzie) płaskorzeźby na podwórku swego domu; były to przeważnie dwukołowe *carrettini* o ogromnych kołach, naładowane owocami i zaprzężone w woły, ryby przedziwnych kształtów i mniejsze od nich barki, postacie łuczników i centaurów takie jakie widział był kilkakrotnie na metopach *Thesauros sul Sele* w Paestum, albo sceny pasyjne. Świat jego wyobraźni samouka rzeźbiarskiego, ledwie umiejącego czytać i pisać, rozpięty był niby namiot na tych czterech drążkach: na starych metodach zbiorów podczas owocobrania uprawianych jeszcze gdzieś na półwyspie sorrentyńskim i w Salernitano oraz na Sycylii i Sardynii, na rybołówstwie, na greckiej wizji wojen i historii, i na obrazach które w kościołach florentyńskich i neapolitańskich, w kościele na Placyku i w kościółku na *Monte della Madonna dei Marini*, w kaplicy *Pietà dell'Isola* w Certosie, ugięły ludziom nogi w kolanach i jak łagodna *brezza* ciężkie kłosa w łanie zboża, pochylały im głowy na piersi. W pewien sposób był to instynktowny i podskórny świat wyobraźni całej Wyspy.

Ale gdy tylko, po powrocie z Neapolu, postawił przewiązaną sznurkami walizkę na ojczystej ziemi, wszystkie jego myśli skierowały się ku Certosie.

Nie mogło być wówczas mowy o jakichkolwiek robotach naprawczych, mnichom z trudem starczało pieniędzy.

dzy na opędzanie najpilniejszych potrzeb dnia powszedniego. Zachodził do nich często, gładził w milczeniu dłonią okaleczone kolumny *Chiostro Grande*, wprawnym okiem mierzył wykruszenia w ścianach budynków, przysiadł zamyślony na kopczykach gruzów podmiecionych w krążgankach, przed odejściem okrążał wolnym krokiem od zewnątrz mury. Lubiono go w Certosie, gdyż był może jedynym na Wyspie człowiekiem który lubił Certosę.

A on tymczasem czekał cierpliwie i na nowo przywiązywał się do miejsc swego dzieciństwa i młodości.

U stóp jego domu prawie przyklejonego do pochyłości *Monte del Faro* znajdowała się zielona dolinka, dostatecznie trawiasta by spędzać do niej z okolicy czarne kozy i owce; trzech małych pasterzy spało w upalne dnie, lub z krzykiem podobnym do sowiego hukania grało przy powiewach chłodu „w palce” pod rozłożystym drzewem orzechowym na tamtym wygięciu doliny. W górze, na skalnym wzniesieniu zagradzającym część morza, bieleły się jak oczyszczone słońcem kości szkieletu kamienne skorupy jednej z willi rzymskich. Szło się do nich ścieżką wśród rzadkiego żyta przetykanego makami, po obu stronach mając żywopłot z agaw i martwych bądź wyłamanych co stąpienie plastrów kaktusu; w niektórych załomach siedzieli bez ruchu myśliwi z psami, wypatrując przepiórek od strony *Monte del Faro*, lecz częściej chwytając wzrokiem mewy które otarłszy się w ostrym locie nurkującym o powierzchnię morską, wzbijały się niekiedy z rozpędu aż ponad linię wysokiego brzegu. Wyspa była piękna, piękniejsza teraz niż kiedy znał każdy jej zakamarek jako dziecko i młody chłopiec. Kołysała się pod trawą od piłowania świerszczy. Cienistymi pręgami podążała leniwie za biegiem godzin w zegarze słonecznym. O świetle błyszczała świeżością. U zenitu dnia owijała się matowym welonem upału. Późnym popołudniem ukazywała się w całej ostrości konturów nawet dalekiemu Neapolowi. Nocą pełna była zagadkowych szumów, skrzypień, plusków, świstów i odgłosów. Oddychała ciepłą ciągle przeszłością, przechowywała w naturze i ruinach echa minio-

nych epok: wracając wieczorem do domu, Sebastiano przechodził obok głębokiej pieczary gdzie zaglądający z nieba księżyc widywał ongiś misteria Rzymian — tańce owych nagich młodzieńców i dziewcząt, których podobiznę w scenie kawałkady utrwałała płaskorzeźba odkopana na *Monte della Madonna dei Marini*; przyspieszając po ciemku kroku w przesmyku wijącym się wzdłuż tylnego muru Certosy, żegnał się odruchowo znakiem krzyża na wspomnienie korowodu zadżumionych który tędy ponawiał swój szturm obłężniczy.

I wreszcie, na Wyspie przecież mieszkała Immacolata.

IV

Immacolata była córką wdowy po kamieniarzu na *Capo Scogliera* i Sebastiano zobaczył ją po raz pierwszy, osiemnastoletnią, wkrótce po przyjeździe z Neapolu na Wyspę, kiedy do kamieniołomów położonych blisko jej domu wybrał się rzucić okiem na budulec.

Nie napatrzył się wtedy zbyt dokładnie kamiennym blokom oderwanym od ściany przylądka i dotoczonym na skraj drogi polnej, tak bardzo był pochłonięty widokiem dziewczyny która zaprowadziła go do swych dwóch braci pracujących na miejscu ojca. Jak to się stało że nie zauważył jej przedtem, gdy była małą jeszcze dziewczynką, w dniu pogrzebu starego *cavamonti* ciśniętego za wczesnym wybuchem ładunku dynamitu na dno kamieniołomów? Nie była może ładna, ale w całej postaci miała coś żywiołowo fizycznego. Poruszała się ze swobodą i lekkością młodego zwierzęcia, jakby ustawicznie świadoma że każdym zwinnym i uśpionym trochę ruchem ciała budzi pragnienie w patrzących na nią mężczyznach. Najbardziej podobały mu się jej włosy, połyskujące jak miedź i rzadkie na Wyspie, gdzie kobiety porównują między sobą tylko różne odcienie kruczej czerni.

Przychodził do niej odąd co niedzielę po zmroku i latem znikali w krzakach żarnowca, który za kamieniołomami pięł się szeroką pochyłą polaną do połowy Góry Słonecznej. Znała tu każdy kamień, każdą rozpadlinę w ziemi, gdyż od śmierci ojca tędy na przełaj chodziła codziennie na posługi do księdza Rocca. W gorące wieczory leżeli w trawie spleceni ramionami, z ustami przy ustach; albo na wznak obok siebie, ze wzrokiem błakającym się wśród gwiazd: twarde i jak wyrżnięte ze szklistych krzemków morskich nad ich głowami, bladły niżej na nieboskłonie i niepewnym światłem migotały nad daleką łuną Neapolu. Potem szli do jej domu na szklankę wina. Kiedy przed brzaskiem Sebastiano, obudziwszy się wcześniej, wstawał ze swego łóżka, otwierał drzwi na podwórze i siadał na progu, widział ostatnie już gwiazdy podobne do rosy porannej na liściach drzew i kwiatów. I żałował że nie ogląda ich razem z Immacolatą. Zgodził się z jej matką na ślub dopiero za trzy lata.

W tym roku, tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, życie zdawało się uśmiechać do niego życzliwie z dwóch naraz stron: miał za parę miesięcy, w dniu święta *Pietà dell'Isola*, poprowadzić Immacolatę do ołtarza, w kwietniu zaś mnisi postanowili w końcu zacząć od muru odnawianie Certosy.

Nie zapomniano na Wyspie wielkiej chwili, gdy Sebastiano zbił z desek pod murem Certosy ruchome rusztowanie i na wysokości *Chiostro Grande* wykopał dół na lasowanie wapna. Gromada mężczyzn w czarnych ubraniach i kobiet w barwnych chustkach na głowach skupiła się opodal, komentując szeptem zdarzenie. Czterech mnichów w ciemnokasztanowych habitach przewiązanych białymi sznurami, z kapturami opadającymi na plecy aż do pasa, śledziło uważnie i w milczeniu wszystkie jego czynności. Dzieci towarzyszyły krok w krok małemu Tonino, którego Sebastiano od dawna wziął był do pomocy z najbiedniejszej tu osady na przystani. Tyle lat upłynęło od pojedynku Certosy z Wyspą, a jednak naprawa tego muru miała dla obecnych owego dnia podczas

jej inauguracji większą i w jakiś sposób istotniejszą wagę, niż powrót mnichów przed pierwszą wojną światową. Nowi mieszkańcy Certosa pielęgnowali skrycie w sercach nadzieję, że kielnia najlepszego na Wyspie majstra za- bliżni również, prócz szczerb i pęknięć w murze, ciągle niezagojoną ranę przeszłości; i pewnie dlatego, chociaż Certosa szczyciła się zawsze swym szaro-zielonym jak patyna skał kolorem, chcieli odnowiony mur widzieć białym wapienną białością wszystkich tutaj domów i ogrodzeń. Potomkowie mieszkańców Wyspy sprzed trzech prawie stuleci nie byli skłonni do odsłonięcia wiatrom zapomnienia ostatnich okrucichów nieufności, które opowieść gminna przekazywana z ojca na syna i z syna na wnuka doniosła do ich zaciśniętych dłoni ponad otchłanią czasu.

Jeden tylko Sebastiano stał na swym rusztowaniu poza zasięgiem tych powracających i zderzających się w biegu fal starego gniewu i równie starej prośby o przebaczenie. Mógł nareszcie patrzeć dowoli na igraszki słońca przebiegającego raz tu raz tam promieniami po strunach kolumnady, i słyszał gdzieś wysoko w górze muzykę jakiej nie znały ludzkie uszy; na witraże w oknach kaplicy, i widział obrazy jakich nie oglądały ludzkie oczy; na palmy bijące w niebo zielonymi wodotryskami z Ogrodu Przeora, i wspominał *Chiostro del Paradiso* z dwudniowej pielgrzymki do Amalfi; na szpary w przymkniętych okienniczkach czterech cel budynku klasztorowego, przez które jedynie Bóg zdolny był ułować i wysnuć ku Sobie cieniutką nitkę modlitwy. Często cofał się pamięcią do lat spędzonych w pobliżu *Donnareginy*. Czuł się znowu murarzem w służbie wieków, których nie obejmował i wobec których drżał jego umysł. Nie było od wieków przeznaczeniem i chlubą człowieka zostawiać po sobie na ziemi jak najtrwalszy ślad swojej ręki? I jakkolwiek nie trudno by mu było uporać się z murem Certosa w ciągu trzech miesięcy, zawczasu powziął myśl o wydłużeniu roboty co najmniej do połowy września.

Zawodne są analogie ludzkich losów. A przecież nie podobna oprzeć się uczuciu, że Sebastiano wszedł

zrządzeniem nieznaney siły w koleinę przed wieloma setkami lat wyżłobioną dziejami nieszczęsnego twórcy Certosy i przez tyleż setek lat zasypywaną piaskiem toczącego się naprzód świata. Dla obu — choć z różnych przyczyn i w odmiennych okolicznościach — Certosa miała być koroną triumfalną; dla obu — też w różnych okolicznościach — stała się koroną cierniową. Czy życie powtarza jak pozbawiona pomysłowości hałciarka zbliżone do siebie ciągle wzory, jest rzeczą roztrząsaną od niepamiętnych czasów przez filozofów i po dziś dzień nierozstrzygniętą. Czy niezbadane wyroki Boskie pisane są przez kalkę w tysiącach egzemplarzy i zmieniane tylko w drobnych wariantach, czy przeciwnie — każdy z nas z osobna odbija się w ogromnym Oku Opatrzności i z nieomyślnej Ręki Sędziego otrzymuje inny i na własną wyłącznie miarę skrojony los, jest sprawą zaprzatającą wiernych i teologów. Ale mimo że Immacolata za dużą na pewno odpowiedzialnością obciążała Certosę za nieszczęście jakie spotkało ją i jej narzeczonego, ubogi murarz spod *Monte del Faro* musiał chyba bezsprzecznie wkroczyć w pewnej chwili na zasypany z dawien dawna na Wyspie szlak i potraścić nogą ukryte w piasku spróchniałe kości księcia-sekretarza Joanny Andegaweńskiej.

Ta chwila wypadła w lipcu, dokładnie dwudziestego piątego. Mur był już na ukończeniu i Sebastiano, nie spiesząc się, pracował na jego ostatnim odcinku, najmozolniejszym bo zbudowanym na tyłach Ogrodu Przeora tuż obok ześlizgu *plateau* w stronę morza. Słońce prażyło bezlitośnie, nie zakłócanie podmuchem wiatru, drzewom pozwalając rzucać na spaloną ziemię tylko tyle cienia liści ile drukarz odciska plamek na letnich perkalikach. Skały z daleka zdawały się suche jak pumeks. Niebo łuszczyło się od żaru niby bibułka oblepiająca rozgrzany kocioł. I nic w tym nie było dziwnego że gdy Sebastiano w przerwie obiadowej zabrał się do lasowania świeżej zaprawy wapiennej, pył i biały dym nad dołem zlewały się niemal w jedno z mlecznym powietrzem osnuwającym Wyspę. Nikogo dokola, Tonino zjechał wyciągiem na przystań.

Rzadko z bliższego dziedzińca klasztornego dochodziły szybkie uderzenia sandałów o kamienne chodniki.

W tej pustce i ciszy odmierzanej syczeniem wapna Sebastiano podniósł naraz głowę i ujrzał w górze na jednym z zakrętów drogi nadchodzącą z miasteczka Immacolatę.

W pół godziny później zegar na Placyku wybił pierwszą. Samotny dźwięk płynął nad Wyspą, zataczając coraz szersze i bardziej przytłumione kręgi; Tonino puścił się pędem ze stacji wyciągu ku Certosie. Ledwie zamarło ostatnie drgnienie echa zegarowego, w nieruchomym znowu powietrzu rozległ się rozdzierający krzyk męski, ustępując natychmiast miejsca ni to zwierzęcemu omal wyciu czy skowytowi, ni ludzkiemu jednak, przeciągiemu i bolesnemu zawodzeniu. Potem słabnąca pauza i jakby wyszarpięty równocześnie ze wszystkich strun, przebił cichsze teraz zawodzenie ostry krzyk kobiecy. Gdy Tonino wyskoczył wreszcie z uliczki na przedpole Certosy, zobaczył biegnącą ku niemu z wysiłkiem Immacolatę: dłonie utopiła na skroniach w swoich wspaniałych miedzianych włosach, na jego widok krzyknęła dwukrotnie *Aiuto, aiuto!* i przystanąwszy nagle, chwyciła się za brzuch i tak jak stała osunęła się w pozycji siedzącej na ziemię. Zatrzymał się przy niej tylko na ułamek sekundy i pobiegł dalej. Obok dołu wapiennego dwóch mnichów klęczało nad wstrząsaną drgawkami postacią, strzępem ludzkim utylanym w białym kurzu i leżącym twarzą do ziemi z rękami przytkniętymi kurczowo do oczu. Z trudem wszyscy trzej odwrócili go na wznak: do jego rąk, policzków i czoła przylepione były jeszcze popękane plasterki wapna. Sebastiano miał twarz obrzękłą i czerwoną; oczy zasłaniał ciągle palcami zagiętymi w szpony, wciskał je z dychawicznym jękiem w głąb czaszki. Dał się w końcu, nie stawiając większego oporu, przenieść do ambulatorium klasztornego w *Chiostro Piccolo*. Tonino pędzący do miasteczka po lekarza wyminął Immacolatę, która siedziała wciąż na ziemi, kiwała się rytmicznie i powtarzała cicho *Aiuto, aiuto*. Ale tym razem nie wiadomo było czy powtarzała to słowo

do siebie, czy do otaczającego ją małego tłumu ludzi wywabionych krzykiem z domów na najgwałtowniejszy skwar godzin południowych.

Nie prędko Immacolata uspokoiła się na tyle, by móc wydobyć z gardła coś więcej prócz monotonnych wezwań o ratunek. Sierżantowi karabinierów opowiedziała, że Sebastiano potknął się i uderzył kolanem w długą rękojeść szpachli do lasowania zaprawy wapiennej: zakrzywiona łopatka, płytko zanurzona w dole, obróciła się błyskawicznie i całą swoją zawartością bluznęła mu w twarz. Dwaj zakonnicy słuchali tej opowieści z opuszczonymi powiekami. Z powiekami, pod którymi trwał uporczywie obraz drewnianej rękojeści opartej nie o ten bok kwadratowego dołu gdzie wił się w bólu Sebastiano. Czy można było jednak być pewnym, że pchnięty silnie kolanem drążek nie odskoczył na przyległy bok wgłębienia? Bardziej zrozumiały nawet stawałby się wówczas obrót łopatki w stronę twarzy upadającego. Na tym więc chwilowo stanęło, aż do czasu gdy przemówi Sebastiano. Lecz mijały dnie i tygodnie, a Sebastiano leżał bez ruchu w półmroku dawnej celi Certosy z zabandażowaną górną częścią głowy, z przepaską na oczach i z zakneblowanymi, rzekłbyś, ustami.

Smutny był tego roku obchód *Pietà dell'Isola*. Mniej niż zwykle, i niechętnie, wystrzelono fajerwerków. Ciżba ludzka na drodze z Certosy do kościoła przyglądała się orszakowi niosącemu statwę z zakłopotaniem, dzieci sypnawszy mniej obficie niż zwykle kwiatami i bibułkowymi spiralami, schowały się za szpaler starszych. Sam orszak starał się posuwać jak najszybciej. O zmroku oświetlono tylko fasadę kościoła na Placyku. Odżył stary cień? Uwierzono oskarżeniom Immacolaty, która przez cały ten czas od wypadku wygrażała z oddali Certosie? Myślano o widocznej znad morza szarej wyrwie za Ogrodem Przeora w niepobielonym do końca murze klasztornym? Patrzono na Matkę wiszącą wzrokiem na wargach zamężzonego Syna, pamiętając że przed tygodniem zaledwie Immacolata poroniła martwe dziecko które Padre Rocca (choć należała do innej parafii) ochrzcił, wyposażył na drogę w imię Gio-

vanni i pochował na cmentarzyku u stóp *Monte della Madonna dei Marini*?

Procesja powrotna rozwiązała się przed dojściem do bramy Certosy. Za bramą, na dziedzińcu *Chiostro Grande*, czterej zakonnicy stanęli jak wryci i z wrażenia postawili na ziemi swój ciężar. Między kolumnami krużganku szedł wolno bosy, w spodniach tylko i koszulce i z rozbandażowaną głową, Sebastiano. Nie odpowiadał na wołania najłżejszym bodaj poruszeniem głowy i idąc, dotykał wyciągniętą dłonią jakby po omacku kolumn. Był głuchy. Był może niemy. I był przypuszczalnie ślepy.

V

Czterej zakonnicy mylili się: Sebastiano, kiedy 19 września 1933 roku wracał po ośmiu tygodniach martwego odrętwienia na Wyspę, nie był ani zupełnie głuchy, ani zupełnie niemy, ani zupełnie ślepy.

Wstrząs, jaki wywołał w nim wypadek przy wykańczaniu muru Certosy, odebrał mu słuch i mowę tylko do tego punktu, w którym słowa więznąc w sidłach krtani nie znajdują w sobie dość sił by wydobyć się na zewnątrz i wolą uciszać raczej swe bijące trwożliwie małe serca, niż zrywać się do lotu z rozpaczliwym furkotem połamanych skrzydeł; a dźwięki otaczającego świata nie są całkiem umarłe i niepochwytnie, lecz stapiają się jak szum w przytkniętej do ucha muszli i zdają się przenikać zza grubej szyby. Lewe oko miał zaciągnięte nieruchomą łuską na zawsze; w kącie prawego pozostała mu szparka przez którą, podnosząc ukośnie głowę do góry, widział ludzi i przedmioty w nieustannym wibrowaniu, jak gdy się patrzy w drzemce popołudnia spod przymrużonych rzęs na słońce i nawet chwiejne cienie rozsypują się w nieskończoną ilość mniejszych cieni, odwodząc coraz dalej złąkaną uwagę od własnego realnego źródła.

Można zresztą wątpić czy były mu do czegokolwiek potrzebne te trzy atrybuty ludzkiego istnienia, których został w znacznej mierze pozbawiony. Gdyż Sebastiano utracił również rzecz ważniejszą od słuchu, mowy i wzroku: pamięć. Jedynym i ostatnim uczuciem, jakie ze świata ocalał, był ból. Ból tak straszny, że na samo jego wspomnienie w gardle tworzyła mu się pusta grudka jęku, potrząsając nim długo jak w czkawce; bał się wtedy wszystkiego i otarcie się o drzewo, dom lub przechodnia przypominało go o odruch paniki. Gdzieś w głębi, pod najniższym pokładem tego bólu, pełzało mroczne cierpienie bez twarzy, bez nazwy i bez skojarzeń. Bywały chwile że bardziej niż przez nie samo, cierpiał przez to że skradało się w nim ciągle nienazwane i w swojej ciemnej bezkształtności ustawicznie umykające szeroko rozwartym ramionom. Slepota jego pamięci o ileż była dotkliwsza od ślepoty jego oczu! I o ileż więcej tkwiło męki w tym uciekającym coraz dalej i dalej od źródła cienia cienia jego pamięci, niż w półniemych zjawach, pociętych smugach i ulotnych kształtach, które w wiecznym tańcu migotały i wirowały przed jego nieomkniętą powieką!

Przez pierwsze parę dni towarzyszyła mu w przemierzaniu wzdłuż i wszerz Wyspy garstka ciekawych, przeważnie dzieci. Zrozumiano szybko że próżne były wszelkie usiłowania cofnięcia go w przeszłość, ale obawiano się by na wąskich i zdradliwych ścieżkach nad przepaścią nie postawił kroku w przyszłość z której nie ma powrotu. Szedł zawsze przodem, boso, i często z chodu przerzucał nogi w krótki bieg jak gdyby czuł się ścigany; potem przystawał, zdawał się nasłuchiwać, lecz nie odróżniając głosów ludzkich od szmeru morza, siadał uspokojony. Eskorta w tyle zatrzymywała się wtedy również: naradzano się czy nie zostawić go własnemu losowi, zastanawiano się (choć słońce wrześniowe było już łagodniejsze) czy nie wcisnąć mu na głowę słomianego kapelusza rybackiego.

Mimo że nie posiadał przecież określonego celu, rzadko odpoczywał, pchany wciąż naprzód niepojętą wytrwałością, która sama w sobie była celem. Ale Wyspa

nie знаła dróg naprzód: wszystkie okrążały ją lub przecinały, wracając jak pętle tam skąd wyszły. Toteż pojawiał się wiele razy w ciągu dnia w tych samych osiedlach, wszędzie witany milczącym spojrzeniem mężczyzn i płaczącym żalem kobiet. Pierwszego dnia tuż przed wieczorem opadł zmęczony na ławkę w osiedlu u stóp *Monte della Madonna dei Marini* i poruszył bezgłośnie wargami niczym ryba wyrzucona na piasek; przyniesiono mu dzbanek mleka, talerz zupy i pół bochenka chleba. Odtąd, gdziekolwiek zatrzymywał się o tej porze w miejscu zamieszkałym przez ludzi, nie skąpiono mu posiłku.

Szybujący wysoko nad ogromnym światem ptak nieczęścia upatrzył sobie ofiarę na Wyspie; i Wyspa, przyzwyczajona do nieszczęść jak do alg, które po odpływie osiadają i aż do zetlenia schną w słońcu na brzegu morskim, pochyliła się z cichą rezygnacją nad swoją ofiarą porzuconą w pół życia przez podniebnego napastnika.

Garstka ciekawych opuszczała wędrowca, gdy słońce zachodziło za sąsiednią wyspą a z morza, czerwieniejąc jeszcze lekko na rozpinanych obrzeżach, unosił się wachlarz nocy. Sypiał na wolnym powietrzu, tam gdzie zaskakiwała go ciemność zdmuchująca naraz drganie światła i cieni przed jego uchyloną powieką. Kładł się jak zdarzył przypadek: na gołej i twardej ziemi pod obwisem skały, w chłodnych pieczarach, w trawie między korzeniami drzew, w ostrym poszyciu żarnowca, lub najchętniej na ciepłym miłkim żwirze plaż, lecz nigdy w obrębie siedzib ludzkich. O świcie schodził na utarte szlaki i szukał najbliższej w okolicy studni.

Nie unikał w swych wędrówkach Certosy, a nawet obchodząc ją dokoła dotykał jakby od niechcenia ręką jej muru, co poczytywano z początku za dowód że kołatały się w nim nieliczne odłamki pamięci. Wszystko jednak wskazywało na to że nie rozpoznawał własnego domu obok *Monte del Faro*, a kiedy przechodził pierwszy raz osadą kamieniarzy i Immacolata wybiegłszy na drogę osunęła mu się z głośnym szlochem do kolan wzywając nadaremnie jego imienia, wyrwał jej się spłoszony i począł długimi

susami pędzić w kierunku *Capo Scogliera*. Dopiero u wejścia do kamieniołomów ochłonął z przestachu i zwolnionym już krokiem skręcił na ścieżkę wiodącą ku ruinom willi rzymskiej. Tego dnia Immacolata przyłączyła się do jego smutnej świty. Wieczorem wróciła do domu pokonana przez oczywistość. I odtąd, ilekroć ujrzała go z daleka, za całe przypomnienie dawnego narzeczeństwa miała szybki znak krzyża z kciukiem przykładanym bojaźliwie na zakończenie do warg.

Można by powiedzieć że Sebastiano zachował znajomość wszystkich dróg i ścieżek na Wyspie raczej w bosych stopach, niż w tej resztkę wzroku jaką darował mu los. Pamiętał każdą gruzłowatość, każdy gładki i równy skrawek nawierzchni, każdy kamienny schodek, każdy wykrot drzewa i płat trawy w dolinach, każde wzniesienie i wgłębienie mulich traktów opasających zbocza wzgórz. W chaosie wypełniającym jego mózg i serce to jedno uczucie, to że czuł i rozumiał tak dobrze ziemię pod nogami, składało niekiedy jego usta do pogodnego uśmiechu. Szedł wówczas przed siebie bez znużenia i zdawało mu się że poprzez szum w uszach słyszy dochodzący z dołu czysty i kojący ton. Może w jakiś tajemniczy sposób krew w jego żyłach współgrała swym rytmem z ukrytym tętnem Wyspy, na której się urodził i którą kochał niegdyś przytomną miłością?

Po tych kilku pierwszych dniach garstka towarzyszących mu osób i dzieci zaczęła powoli topnieć, aż w końcu odpadła całkowicie. Upewniwszy się że uratował przynajmniej z wypadku czujne nogi, i że mimo wszystko miłsze mu jest takie życie od śmierci, mieszkańcy Wyspy powierzyli go opiece Opatrzności i Boga. Został więc sam ze swoim bezimiennym cierpieniem i oślepioną pamięcią, które raz tylko przeszły go z nagłą wyrazistością, niby błyskawiczne ukłucie żądła: gdy pierwszej nocy z legowiska pod szczytem *Monte della Madonna dei Marini* ułowił w oddali rozchybotaną plamę świetlną.

Była to fasada kościoła na Placyku, iluminowana z okazji święta *Pietà dell'Isola*.

VI

Mijały miesiące a potem lata i Wyspa przywykła do swego samotnego wędrowca. Z biegiem czasu spotykano go także rzadziej. Znikał często i upływało wiele dni, nim wyrastał niespodzianie jak spod ziemi to tu to tam z torbą na żywność uszytą z płótna żaglowego. Jesienią i zimą, ciągle bosi, nie zważał ni na chłód ni na deszcz oczekując cierpliwie na skraju któregoś z osiedli aż ktoś go wreszcie dojrzy z okna. Ale w okresach słyty szukał sobie innego schronienia na noc: to pod ocalałym kawałkiem dachu w ruinach rzymskich, to na osłoniętej werandzie willi opustoszałych po sezonie, to w sionce wejściowej sześciennego bloku u podnóża latarni morskiej. Niepowodzeniem skończyła się próba karabinierów osadzenia go w małym *Ospizio* na Wyspie: jedyny raz zobaczono go wtedy w gniewie i usłyszano z jego ust strzępy dziwnego bełkotu; ponieważ nie zagrażał porządkowi publicznemu, nazajutrz otwarto przed nim drzwi na żalosną wolność włóczęgi. Pierwszej zimy odżyło na krótko pytanie czy nie należało widzieć nowego, negatywnego teraz, świadectwa jego pamięci w tym, że nawet ziaęb nie był w stanie przywieść go nocą ani za mury Certosy ani do własnego domku (który w końcu zarządzeniem władz oddano bezterminowo do użytku szkole rzemiosła zdobniczego). Stopniowo, nie wiadomo jak i kiedy, nadszedł moment że mogło się wydawać iż nie istniał nigdy dawny Sebastiano, lecz ten obdarty od niepamiętnych czasów nędzarz któremu świeżoprzybyli turyści, nie obznajomieni jeszcze z życiem na Wyspie, wtykali do ręki odrzucaną przezeń natchmianst jałmużnę. *Er ist verrückt* — mówili ze zgrozą Niemcy. *He doesn't seem to be in need* — wzruszali ramionami Anglicy. Stopniowo też odzyskała poprzednią świetność *festa* u schyłku sezonu.

Pora opisać jak wyglądał Sebastiano. Przed wypadkiem był średniego wzrostu i barczysty, głowę miał kwadratową i kanciąstą, jak wyciosaną z twardego drzewa,

niskie czoło osłaniało mu daszkiem duże zielonkawie oczy, w których spokój i siła przeplatały się z dziecinną naiwnością. Osem tygodni leżenia w Certosie postarzało go o dziesięć lat. Wyszedł chudy i zwiotczały, jakby kości rozpychały i starały się przedziurawić worek skóry. Ten gwałtowny skok wieku uczynił go podwójnie zmienionym: Sebastiano zdawał się wyższy niż przedtem, lecz równocześnie pochylony do przodu sępią wygięciem grzbietu i szyi. Rysy twarzy, ściągnięte i skurczone z lewej głównie strony oparzeniem, jedno oko zapieczętowane powieką, a drugie przekreślone krzywą szczeliną, odcisnęły mu wyraz bezsilnej czy pozornej tylko drapieżności. Wyłysiał częściej podczas owych dwóch miesięcy i im dłuższe stawały się jego rzadkie włosy, tym wyraźniej splątywały mu się i zbijały na karku w okrągły koczek. Brodę za to miał gęstą i skłębioną, jak greccy mędrcy w popiersiach antycznych lub apostołowie na freskach bizantyjskich. Obcinali mu co pewien czas włosy we śnie pasterze, gdy przychodził do zielonej dolinki gdzie wypasano kozy i owce i usypiał przy ledwo dosłyszalnym dźwięku małej kobzy abruzzyskiej, którą przynosili niekiedy na pastwisko. Była to prócz tajemnego głosu ziemi pod stopami jedyna czysta, ostra i uśmierzająca ból nuta, jaka docierała do jego świadomości.

Do miejsc, które upodobał sobie szczególnie w swym krążeniu po Wyspie, należały: północno-wschodnie, mało uczęszczane zbocze Góry pod wezwaniem Opiekunki Żeglarzy, *Capo Scogliera* od strony morza, zatoczka między dwuzębną skałą sterczącą opodal brzegu z dna morskiego a zachodnią ścianą *Monte del Faro*. Na zdziczałym zboczu ostrokrzewy uciepione głązów pokrytych cienką warstwą ziemi, kwiaty o wysokich łodygach i miękkie sieci powojów tworzyły gąszcz, w którym tonął siedzący człowiek; tu wschód słońca trącał Wyspę pierwszymi promieniami i budził dzień rosą światła rozpyloną w powietrzu; oddech przenikał ciało chłodnym strumieniem i był jak przytknięcie spieczonych warg do źródła przed wychyleniem się znowu na suchy wiew pożaru słonecznego. Na

przymorskim wydmuchu *Capo Scogliera* stał, obłożony do połowy kamieniami, czarny krzyż upamiętniający śmierć dziewięciu rybaków podczas burzy w początkach stulecia; rzadko kto zapuszczał się tutaj łodem — jedyne dojście wymagało częstego obsuwania się po skałach — a od morza trzymał łódki na dystans czarny pomnik katastrofy; podobnie jak Sebastiano, przekładały to ustronie nad inne również mewy, przysiadające na ramionach krzyża i objęte na echa detonacji z kamieniołomów. W zatoczce między skalnym dwuzębem a *Monte del Faro* kąpał się latem; nie rozbierając się, wchodził powyżej pasa do wody i zanurzał głowę: szmaragdowe plamy kamieni, ciemnorudy mech morski, różowe i sine gałązki wodorostów, zlepięne koronki muszelek, srebrne błyski drobnych *alici* widział przez swoją szparę w oku z taką dokładnością, jakby tylko królestwo podwodne nie miało dla niego żadnej zasłony; może dlatego przede wszystkim polubił tę zatoczkę; potem sechł na płaskim występie ściany i zdarzało się że leżał tam jeszcze długo po zachodzie, gdy zapalony wiatrak zaczynał swój nocny obrót w oszklonej wieżycze latarni morskiej.

Jego świat Wyspy, bez ustanku okrążanej, zamienił się w zegar w którym zawsze tak samo dwie strzałki suną po obwodzie i niezliczoną ilość razy mijają te same kreski podziałki, posłuszne tylko skokom kółek zębatych w ukrytym mechanizmie. Zegar nie pyta o noc lub dzień, o wiosnę lub jesień. Jego czas jest martwy, jest szkieletem czasu. Dopóki jak modelowana palcami glina nie wypełni go żywe godziny, miesiące i lata, pozostanie nieruchomy mimo pozorów ruchu. Pozostanie niby do dna przez posuchę wyszana rzeka, która wijąc się dalej wstęgą umarłego koryta, zachowała dawny kształt i kierunek, posiada jak niegdyś ostre zakręty i łagodne zakola, lecz zapomniała już czym jest woda przemawiająca dziesiątkami głosów, mieniająca się dziesiątkami barw, odbijająca w swym biegu niebo, drzewa, chmury i obłoki.

Gdyby Sebastiano umiał zdać sobie sprawę ze swego życia, odkryłby że nie wie kiedy naprawdę budził się ze

snu: o brzasku, gdy świetlisty rój przed prawym okiem podźwigał z legowiska jego ciało, czy za progiem nocy, gdy ciemność i zmęczenie rozciągały go na ziemi i obezwładniały swoim ciężarem. Jak we śnie bowiem błakał się za dnia po Wyspie. I jak w jawie pograżał się w sennych przestworach nocy. Pod skrzydłem nocy i snu otwierały się jego ślepe oczy i na pustyni pamięci znajdowały kilka oaz oszczędzonych przez stwardniałą skorupę lawy: kamienną Marię Węgierską leżącą na własnym grobowcu w *Donnareginie*, która wsparłszy się na łokciu, przybliżała swoją twarz do jego twarzy; Madonnę Cavalliniego z medalionem niemowlęcia na piersiach, z Aniołem osłaniającym Ją mieczem przed smokiem z lewej strony, a z grobem Syna po prawej; złotowłose cherubiny, które sfruwały ze ścian i otaczały go tak ciasnym kręgiem, że prócz uniesienia przejmowało go to lękiem; wózki naładowane owocami i ciągnięte przez woły o ludzkich głowach; czarny krzyż wyrwany z kopca kamieni i niesiony przez kogoś pod górę. Przypadkowy świadek pochylony nad śpiącym dosłyszałby też dźwięki podobne do słów i krótkie zachłysty płaczu czy westchnienia. Wraz ze światłem dziennym wszystko znikało bez najmniejszego śladu, jak płomyk świecy na ołtarzu nakryty blaszanym stożkiem gasidła.

Któregoś dnia na początku lata — było to w roku 1939 — ocknął się o świcie na zboczu *Monte della Madonna dei Marin* i zamiast jak zwykle zejść do studni przed bramą cmentarzyka, na którym Padre Rocca pochował dziecko Immacolaty, począł wdrapywać się na szczyt. Kalczyły go w pochodzie gałęzie ostrokrzewów, były jak różgi twarde badyle ostów i wiotkie kwiatów, ale nie ustawał i czepiając się dłońmi wystających żeber pochyłości, piał się wzwyż prowadzony dziwnym uczuciem podniecenia i pośpiechu. Omijał dotąd instynktownie miejsce, na którym czuwała Opiekunka Żeglarzy, docierając najwyżej w dżdżyste wieczory do wlotu dolnych kondygnacji willi rzymskiej; tego dnia jednak instynkt inaczej kierował jego krokami. Słońce wydobyło się już całe z pochwy morskiej, gdy wyłonił się zza ostatniego prostopadłego

skrawka ściany i stanął na płaskim ścięciu wierzchołka. Smukły posąg z rękami zgiętymi w łokciach, i jak dwuramienny świecznik wymierzonymi w niebo, płonął od jaskrawego blasku poranka. W tyle zbiegała zakosami właściwa, dość szeroka i bezpieczna dróżka, którą do kościółka lub starożytnych ruin przychodzili mieszkańcy Wyspy i turyści. Drzwi kościółka były uchylone, ciemna szpara chwiała się dochodzącym ze środka refleksem świetlnym. W od drzwiach małej plebanii wisiała wzdęta przeciągiem siatka płócienna.

Zbliżył się do szpary i ostrożnie bokiem pchnął drzwi. Najpierw ogarnął go mrok. Potem, zadarłszy krzywo głowę do góry, ujrzał przez mgłę dwa ogniste jęczyczki rozchybotane na tle wąskich i ciemnych witraży; między nimi niewysoką postać; niżej na ukos klęczącą figurkę chłopca. Bezwiednie osunął się na kolana. W tej właśnie chwili odpowiadający mszę odwrócił się od ołtarza ku pustej nawie i podniósł ręce. Jego ruch był gwałtowny, miał tylko stanowić część szybkiego pełnego obrotu, ale zobaczywszy przybysza, Padre Rocca zbladł i zamarł w tej pozycji podobny do *Madonny dei Marini*, z rękami wydłużonymi jeszcze przez jasne pasma świateł po bokach. Trwało to tak długo, że mały chłopiec wyprostował się pytająco na stopniu ołtarza. Sebastiano opuścił głowę na piersi i znowu utonął w mroku. Tym razem jednak była to czysta czerń, jakby przezroczysta woda zatoczki, w której zanurzał się pod *Monte del Faro*, upłynniona z ciemności i orzeźwiająca. Coś w nim błyskawicznie topniało, coś zdawało mu się rozluźniać węzeł w gardle, jakieś olśnienie krótkie i ulotne, dalekie i nieodparte, ostre i odurzające, przenikało go całego niby struga gorącego lecz niewidzialnego światła. Z prawego oka płynęły mu wolno łzy i czuł je w parzącym rowku na policzku, zanim ze skóry ściekały na włosy brody. Znikło naraz to, co było nieodłącznym towarzyszem jego istnienia: wspomnienie bólu i zaczajone pod nim cierpienie bez nazwy i bez twarzy. Nie, nie cofnął się w przeszłość; oderwał się od niej bez reszty. Kiedy po skończonej mszy Padre Rocca podszedł do niego i powiedział: *Ben-*

venuto nella casa di Dio! Non mi riconosci? Sono il parroco della Madonna dei Marini..., Sebastiano usłyszał tylko ten sam co zawsze szum i nie drgnęła mu nawet zwieszona głowa. Dźwignął się wreszcie z klęczek i nie dostrzegając stojącej przed nim postaci, wyszedł z kościółka, tak samo ostrożnie pchnąwszy bokiem uchylone drzwi.

Ale nastąpiła w nim pewna zmiana: widział lepiej. Schodząc w dół na Wyspę udeptaną dróżką, przystanął dwukrotnie, za każdym razem wstrzymany fragmentem krajobrazu. Jak gdyby ich nigdy przedtem nie zauważył, przyglądał się długo żółtemu, spalonemu żarem pagórkowi, na którym rosły karłowate oliwki o pokręconych pniach i przerzedzonych, spłowiałych od kurzu listkach; później zaś niewielkiej pinecie pociętej gdzieniegdzie, między cienkimi i lekkimi kolumnami drzew, smugami słońca. Drugi obraz wywołał w nim na okamgnienie nieuchwytnie wzruszenie, i pinetę upatrzył sobie tego dnia na nocleg.

Odtąd Sebastiano był częstym, a latem na ogół jedynym prócz służącego do mszy chłopca, gościem porannym w kościółku na *Monte della Madonna dei Marini*.

VII

Wojna ledwie otarła się o Wyspę. W pierwszych latach tylko ze składu przyjezdnych można było wnosić o jej istnieniu: ustał napływ turystów francuskich i angielskich, a wśród Włochów z kontynentu i Niemców przeważali mężczyźni w mundurach wojskowych. W bardziej odludnych częściach osiedlili się włoscy Żydzi, których zasoby pieniężne, lęk na zapas i dar przewidywania skłoniły do odczekania burzy na ustroniu, w jej względnie martwym i osłoniętym miejscu. Jeden z nich, doktor Filippo Sacerdote z Mantui, odnalazł na *Monte della Madonna dei Marini* swego rodaka i towarzysza młodości w osobie

księdza Rocca i zamieszkał wraz z nim na plebanii, skracając sobie czas wizytami lekarskimi w wiosce u stóp wzgórza. O tych niezwykłych przybyszach mówiono na Wyspie mało i szeptem, jakby wyczuwano instynktownie że ich los zależy od milczenia.

Podobnie jak przed trzema blisko stuleciami, morze stanowiło dla Wyspy puklerz ochronny. Tym razem jednak pozostało nim do końca. Nawet gdy na Neapol spadły bomby i jak w roku dżumy na wypolerowanym pogodą niebie neapolitańskim zawisły czarne płachty dymu podcinane u dołu nożycami pożarów, gdy nocą na czarnoszkarłatnym pułapie pogubiły się gwiazdy i księżyc, Wyspa trwała nietknięta palcem zniszczenia. Z wygaśnięciem wojny na południu Włoch kolejka linowa zaczęła wyciągać z przystani na Placyk oficerów amerykańskich, angielskich, francuskich i polskich zamiast włoskich i niemieckich. Garstka zbiegów odpłynęła na ląd stały. Deszcz popiołu z przebudzonego nagle, w kwietniu 1944 roku, po długim śnie Wezuwiusza powitano jak znak pokutniczy; ostatni pióropusz ognia nad kraterem — jak nocnego brata tęczy, znak pojednania między niebem a ziemią. Jedyne ślad jaki wojna, uchodząc, zostawiła po sobie na Wyspie pojawił się dopiero później na Placyku: marmurowa tablica ku czci poległych w pierwszej wojnie światowej mieszkańców Wyspy wzbogaciła się o kilkanaście nowych nazwisk; żałobną listę otwierali dwaj bracia Immacolaty, obaj z dopiskiem *caduto per la Patria in Africa* i dokładnymi datami śmierci.

W ciągu tych czterech lat świata spływającego krwią i łzami, objętego pożogą i cierpieniem, życie toczyło się na Wyspie utartym szlakiem. Sebastiano jak dawniej wydep tywał jej ścieżki bosymi stopami, zwracał krzywo głowę ku słońcu przystając dla odpoczynku, lub szybkim krokiem mijał większe grupy przechodniów, i samą swą obecnością zdawał się świadczyć że nic się tu nie zmieniło i nie zmieni dopóki błękitna pustka zagradsza ze wszystkich stron drogę niespokojnemu wzrokowi ludzkiemu; miał teraz serce przepełnione błogą ciszą, odkąd poranne wizyty w kościółku

na *Monte della Madonna dei Marini* stworzyły jasny punkt oparcia w jego wędrówkach. Immacolata, która wypadkom sprzed paru lat zawdzięczała przedwczesne postarzenie się i zbrzydnięcie (jak tylko postarzyć się i zbrzydnąć w młodym wieku potrafią kobiety na Południu), po powołaniu braci do wojska wróciła na służbę i została pomywaczką w barze na Placyku. Certosini na próżno oczekiwali w nowym, wojennym, dopuszczeniu Bożym okazji do zmazania hańby swych siedemnastowiecznych poprzedników: nie zdarzało się nic, co by wynoszonemu przez nich z Certosy każdego 19 września posągowi nadawało walor więcej niż symboliczny. Lecz nie mogli za to nie zauważyć z uczuciem satysfakcji, że (na pewno jak podczas pierwszej wojny światowej) wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo zapalało w oczach tłumu, gdy *Pietà dell'Isola* przepływała nad jego głowami, iskrę bojaźliwej i błagalnej supliki.

Jedynie do życia księdza Rocca wojna wniosła wielką zmianę. Kiedy latem 1942 roku do drzwi jego plebanii zapukał doktor Sacerdote, ksiądz nie wierzył przez chwilę własnym oczom. Cała młodość, to wszystko co w ciągu tylu lat spychał dzień po dniu na dno głębokiej studni pamięci, wróciła doń jak długo wstrzymywany oddech. *Sei tu, Filippo, sei tu?* — mamrotał i dotykał drżącymi rękami ramion i twarzy gościa. W końcu zachłysnął się płaczem tak cienkim i żalospnym, jak płacz dziecka. Oparty czołem o pierś doktora, przyciskając go do siebie to znowu oddalając, poddał się nareszcie bez sprzeciwu i obaw wynurzającym się z ciemnej czeluści obrazom. Rodzinna Mantua z podłużną kiszka placu przed *Palazzo Ducale*, z podcieniami kamienic naprzeciwko, z kłębkami ulic w śródmieściu, ze szkołą na *Corso Giulio Romano*, z jeziorami płaskimi jak rozlewiska jesienne, z domem sierot w pobliżu Pałacu Herbacianego Gonzagów, z chartami Mantegni, zapalała się na przemian i gasła w oszałamiającym zapachu wiosny, w słabym blasku latarni, pod mroczną i wysoką kopułą nocy, w szarozielonym i chłodnym świetle lombardzkich poranków. Nie był tam ani razu od owego

1920 roku, gdy jako świeżo wyświęconego księdza wysłano go na Wyspę. Prócz tęsknoty i obcości samotność — oto co mu najbardziej dolegało w tym orlim gnieździe imperatorów rzymskich, z którego wraz z niemą Madonną przyglądał się morzu i Wyspie tonącym w ukropie słonecznym. Choć nie był jeszcze stary i nie czas mu było myśleć o śmierci, powtarzał sobie chętnie przeczytane gdzieś zdanie La Rochefoucauld'a: *Le soleil ni la mort ne se peuvent regarder fixement*. A przecież wpatrywał się latami i w jedno i w drugą, nie widując, bywało, nikogo poza chłopcem przynoszącym mu z dołu żywność i służącym do mszy rano, oraz przez krótki okres — Immacolatą od południa do wieczora. Tylko w niedziele kościółek zappełniał się wiernymi. Do ruin zaglądali niekiedy przed zmierzchem turyści, których oprowadzał dla samej przyjemności rozmowy, a na ulubioną Opiekunkę Żeglarzy przychodzili czasem — zwłaszcza po sezonie — rzucić okiem mieszkańcy Wyspy. Choroba nóg, ciągle obrzękłych i ciężkich jak kłody, nie pozwalała mu schodzić niżej niż do wsi u stóp góry, gdy wymagał tego Ostatni Sakrament czy pogrzeb. *Solitudine* — szeptał — *che cosa tremenda, Filippo, è la solitudine. Dio fa grazia ma non compagnia*. I nagle uprzytomnił sobie dwie rzeczy: że *il sole* jest nawet jako słowo częstką *la solitudine*; i że oparty głową o pierś w której biło serce innowiercy, bluźnił.

Także doktor Sacerdote był wzruszony i, wyższy znacznie od przyjaciela, obejmował go ramionami za szyję. Ścigany lękiem bardziej przed upokorzeniem i zniewagami niż przed prawdziwym zagrożeniem życia lub wolności, znalazł tu nie tylko bezpieczny zdawało się port, lecz co najważniejsze — szacunek i przyjaźń. Był starym kawalerem, za plecami więc nie zostawił w Mantui nikogo, jeśli nie liczyć dalekich krewnych.

Zamieszkali razem na plebanii. Podczas dnia widywali się rzadziej, wieczorami jednak przechadzali się po wykopaliskach, podziwiali w milczeniu panoramę z *belvedere*, albo gawędzili do późna w pokoiku przerobionym na bibliotekę, gdzie sypiał gość. Stopniowo w doktorze

narodził się zwyczaj siadywania w ostatniej ławce na porannych mszach; w niewielkiej od niego odległości klęczał często Sebastiano; jak dwie świece płonące na ołtarzu, jak uniesione w górę i oniemiałe w tym geście ramiona smukłej Madonny, sterczeli obaj w małej, pustej i ciemnej nawie z ulgą zmęczonych tułaczy.

W największej skrytości ducha, i zaraz potem prosząc ze wstydem Boga o przebaczenie, Padre Rocca modlił się by wojna trwała jak najdłużej.

VIII

Któregoś dnia czerwcowego 1944 roku Padre Rocca obudził się jak zawsze przed świtem, lecz zamiast podnieść się starym zwyczajem w pierwszym odruchu przytomności z łóżka, zapadł natychmiast w nowy, płytki sen. Czuł pod cienką, pękniętą skorupką świadomości ogromny ciężar własnego ciała, które nie pograżało się głębiej tylko dlatego, że zdawało się opłatanie i przytrzymywane blisko powierzchni gęstymi wodorostami.

Przez firankę w oknie wlewał się, jak mleko do szklanego dzbanka, biały dzień. Ksiądz robił rozpaczliwe wysiłki żeby wyrwać się z opłotów snu, im gwałtowniej jednak szamotał się z nieznana siłą która go więziła u progu przebudzenia, tym większa wstępowała weń słabość i rezygnacja. Koszula przesiąknięta potem lepiła mu się do skóry i dławiła go, wywołując w piersiach uczucie nieznośnej duszności. Gdy szarpał się tak w półśnie nieruchomy i ciężko dyszący, ogarnął go strach. Strach nieokreślony, nie zlokalizowany, ale dostatecznie groźny i przejmujący, by wydusić mu z gardła okrzyk podobny do głośnego westchnienia. Pragnął teraz jednego: otworzyć oczy. Udało mu się to wreszcie z trudem i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył przez szparę w powiekach, był mały czarny krzyżyk na pobielonej jaskrawo słońcem ścianie. Poczuł jeszcze

wiekszy strach. Stracił naraz te resztki rozeznania gdzie jest i co się z nim dzieje, które dawało mu utrzymywanie się pod powierzchnią jawy. Wydało mu się że to pajak uczepił się ściany. Trudno było odróżnić brzeg życia od bezdennej toni śmierci. Wypuszczony przez obejmujący go ciasno gąszcz, z nagłą lekkością oddechu i strachem zwielokrotnionym do granic agonii w której nie było już ni czasu ni miejsca na krzyk, zaczął opadać w dół, kołując ostatnimi błyskami świadomości jak ciało znoszone bezwolnie podwodnymi prądami.

W pół godziny później stał nad nim doktor Sacerdote. — Musi odpocząć — powiedział do chłopca służącego do mszy, który go zaalarmował i pomagał mu teraz przy zastrzyku. — Co najmniej tydzień spokojnie poleżeć.

— Mógłby jeszcze długo pożyć — dodał do siebie w myślach, — ale nie w tej samotności która go zżera po kawałku jak rak.

Odchylił firankę i wyrzwał przez okno. Sebastiano siedział na stopniu przed drzwiami kościółka jakby na coś czekał i w końcu, potoczywszy przedtem dokoła głowę, oddalił się w kierunku dzikiej ścieżki na zboczu którą o świcie wdrapał się na szczyt.

Doktor przysunął sobie krzesło do łóżka chorego i krótką chwilę oglądał z ciekawością jego pokój. Poza szafą zbitą z drzewa przeświecającego przez lichą politurę, klęcznikiem w kształcie pulpitu szkolnego i blaszaną umywalnią z konewką umieszczoną pod miednicą, nie było tu żadnych mebli. Nad łóżkiem wisiał duży obraz Narodzenia z lampką oliwną na łańcuszkach przytwierdzonych do dolnej ramy; na przeciwległej ścianie mały krzyżyk; na bocznych ścianach tylko dwie tanie i wyblakłe pocztówki ilustrowane, wpięte we wszystkich czterech rogach pluskiewkami, z zatkniętymi u góry ceglastymi i wykruszonymi po brzegach liśćmi jakiegoś drzewa: jedna przedstawiała Mantuę nocą, druga była popularną reprodukcją *Pietà dell'Isola*.

Było parno, choć nie zanosiło się przecież na deszcz — jeden z owych czystych, a mimo to dziwnie ołowianych

poranków na Wyspie, gdy siedząc długo bez ruchu, podąża się od niechcenia za własnymi, puszczoneymi luzem i postrzępionymi myślami, jak za nisko płynącymi chmurami, które zasłaniają krajobraz i rzadko tylko pozwalają w nim dojrzeć jakiś niezauważony dotąd lub przeoczony szczegół.

W umyśle doktora ożyła nagle scena sprzed paru miesięcy. Nie przywiązywał do niej wtedy większej wagi, ale teraz zobaczył ją ponownie z nadzwyczajną wyrazistością, właśnie jak przez wąski odstęp między wędrownymi chmurami dostrzega się ledwie przedtem tknięty wzrokiem skrawek widoku tym ostrzej, im szczelniej reszta owinięta jest ciemnoszarą zasłoną.

Zmierzchało, kiedy wracał od porodu na wsi do domu. Padał drobnutki deszczyk, krople w powietrzu rozpylały się niby strumyki z kranów obrotowych, nawadniających podczas suszy poletka winnej latorośli na Wyspie. Przecierał co kilka minut okulary, zamglone rosą wilgotnego rozprysku. Był to zimowy dzień, smutny i płacziwy, przed sobą widziało się wszystkiego najbliższy kawałek ścieżki, wyżej — wełniste łachmany którymi w godzinę ziąbu otuliła się góra z ruinami rzymskimi, kościołkiem i czuwającą Madonną. Z daleka dudniło przytłumionym odgłosem morze. Przy wyjściu z osiedla, migocącego już w wielu domach żółtymi i łzawymi szybkami, wyminął go w przeciwnym kierunku cień, skurczony i też otulony łachmanami. Doktor poznał swego towarzysza mszy porannych. *Buona sera* — krzyknął donośnie. Wiedział dobrze że nie należy się spodziewać odpowiedzi, krzyknął tak tylko dla odpędzenia nastroju zimowej pluchy przedwieczornej, ale cisza w jakiej utonęły jego słowa miała w sobie coś raczej posepnego i paraliżującego, niż przyspieszającego rażno samotne kroki.

Przed skrzyżowaniem z którego rozwidlało się właściwe podejście pod górę, dróżka biegła obok cmentarza. Otoczony był niewysokim i szerokim murkiem, białym jak wszystkie ogrodzenia na Wyspie i podobnym do wału czy nasypu; idąc z oczami utkwionymi przed siebie, ulegało się tu często (zwłaszcza o zmroku) złudzeniu, że nie krzyże

i kamienie grobowe lecz rząd postaci wspiętych na palce odprowadza przechodnia milczącym spojrzeniem. A jednak nie było nigdy w tym cmentarzyku niczego wywołującego instynktowny dreszcz, jak nie miewa się nigdy podobnych reakcji w pobliżu cmentarzy wiejskich, na których widok ludzie przeznęniają się szybko z naturalną żałyłością pozdrowienia oddawanego żywym, a nie myśli poświęconej umarłym.

Doktór podchodził już do końca muru i zamierzał skrócić w lewo, gdy z zadumy wyrwał go szelest mokrego listowia zbyt wyodrębniony z ciszy, by można go było przypisać podmuchowi wiatru. Zatrzymał się i spojrzał w stronę cmentarza. Upłynęła dłuższa chwila, zanim przez zmatowiałe okulary wyłowił z brudnej ćmy swego przyjaciela. Padre Rocca stał nad małą mogiłą, porośniętą trawą i przebitą niskim krzyżykiem; jedną ręką — prawdopodobnie ze względu na obolałe nogi — obejmował młode drzewko potrząsając nim ustawicznie, drugą, zaciśniętą w kułak, położył na piersi jakby przytrzymywał za brzegi poły rozpiętego płaszcza. Na okamgnienie doktor nie mógł się obronić wrażeniu, że trzęsące się drzewko udziela swego drżenia opartemu o nie człowiekowi, a szelest mokrych liści jest ludzkim płaczem. Zaraz potem pomyślał że odwiedzanie cmentarza parafialnego należało w pewnym sensie do potocznych zajęć jego przyjaciela, i jakkolwiek owego dnia pora i pogoda nie wydawały się szczególnie sprzyjać takiej wizycie, nie dając mu znać o swej obecności ruszył przed siebie.

Ale w połowie drogi na szczyt, być może wstrzymany niejasną obawą, postanowił poczekać. Usiadł pod skalnym daszkiem na ławce ustawionej tu w cieniu na lato dla turystów i próbował zapanować nad przenikającym go chłodem, wsunawszy na krzyż dłonie w wyloty rękawów. Czekał długo. Resztę drogi odbyli razem, obaj nieskorzy do rozmowy. Wielokroć zasapany ksiądz kładł się omal na prowadzącym go pod ramię towarzyszu, a na krótkim odcinku przełęczu doktor włożył go za sobą jak rannego wynoszonego z pola bitwy. Zapewne wówczas zdradził

się otwarcie po raz pierwszy wróg skradający się od dawna w sercu proboszcza Opiekunki Żeglarzy.

Twarz chorego powlekła się woskowym kolorem. Jego oddech był prawie niedostrzegalny, co jakiś czas tylko wydymał mu na zewnątrz dźwięk słabym bąblem powietrza, który przypominał pęcherzyki rzadko odrywające się z mulistego dna sadzawki. Sen ślizgał się jeszcze na pograniczu utraty przytomności.

Doktor zmoczył ciężką od gorąca głowę nad miednicą umywalni, ale ledwie wytarł ją ręcznikiem i usiadł z powrotem na krześle, poczuł wzmożony ucisk w skroniach i znowu dał się ponieść bez oporu spóźnionym medytacjom.

Co teraz najbardziej przykuwało jego uwagę w tej scenie, gdy ją odtwarzał po paru miesiącach, to ów skurczony cień który wyminął go przed dojściem do cmentarza. Jeden Bóg, i nikt chyba poza Nim, zdolny byłby pojąć dlaczego. Patrząc wstecz, uświadomił sobie że gdy szli obaj pod górę, całą drogę męczyło go urojenie, iż z tyłu towarzyszy im niewidoczny Sebastiano. Skąd się to brało? Wiedział o nieszczęśniku tyle co nic. Z początku zainteresował się wypadkiem jako lekarz, ale obłąkany wiejski kaleka nie pozwalał mu nawet do siebie przystąpić. Później przywykł do jego częstej obecności na porannych mszach. Ksiądz mówił o nim niechętnie. Raz czy dwa burknął: co go tu wciąż sprowadza? Doktor odpowiadał żartobliwie, że chęć ocalenia honoru zapomnianej przez wszystkich świątyni; miał jednak na ten temat inną, poważniejszą teorię: przypuszczał że dotknięty niemal całkowitą ślepotą murarz widział najlepiej w półmroku kościoła dwie zapalone na ołtarzu świece, i że było to dlań źródłem bezwiednej atrakcji.

Jakiż zatem był powód, że w wyobraźni doktora przyplątał się do nich wtedy ten cień, więcej — że to uciekając przed nim, Padre Rocca gnał bez wytchnienia naprzód u kresu swych sił? *Andiamo, Filippo, andiamo...*

Doktor przymknął powieki i ujrzał nagle — jednym z tych dziwnych zrządeń asocjacji, których wytłumaczenia nie należy nigdy szukać w przypadkowym pokrewień-

stwie elementów składowych — nagi, bladoziemisty tors mężczyzny, przebity strzałami które spod swych grotów wypuszczały koraliki zakrzepłej krwi, a nad nim głowę przekrzywioną w bok, oblepioną długimi włosami dotykającymi ramion, z wyrazem bólu i równoczesnego wniebowzięcia w oczach zwróconych jasnymi źrenicami ku górze. Ten obraz tak go zaskoczył, że otrząsnął się jak z sennego przywidzenia. I upłynęło trochę czasu zanim zrozumiał, że tym którego w nieodgadnionym kaprysie podsunęła mu pamięć był San Sebastiano jakim widział go Mantegna.

Około południa na policzkach księdza pojawiły się delikatne rumieńce, dowód że wziął go w swe objęcia spokojny i ożywczy sen. Ale niebawem zaczął majaczyć, podnosił się szukając łokciami oparcia i natychmiast opadał na poduszki, dławiał się nieuchwytnymi słowami które nakładały się szybko jedno na drugie w przeciągłym jęku, wybuchał co jakiś czas krótkim szlochem. Doktor pochylił się nad nim z niepokojem: była to tylko reakcja senna długiego omdlenia, zaludniona pewnie złymi zjawami. Choć nie miał gorączki, chory zachowywał się chwilami jak poparzony, gdy palcami obmacywał ostrożnie swą twarz, szyję i pierś odsłoniętą w wycięciu koszuli.

Sen księdza Rocca posiadał to bogactwo treści, jakie występuje w momentach śmiertelnej choroby lub niebezpieczeństwa.

Nie znając dobrze istoty snów, wiemy o nich przecież co najmniej tyle, że spojrzenie w przeszłość skracają o puście, hałaśliwe czy mało znaczące interludia na taśmie czasu, dzięki czemu widzimy często, jakby w migawkowym olśnieniu, kondensację rzeczywistości zamiast owej rozcieńczonej wersji autentycznej, która nawet dramatycznym doświadczeniom na jawie odbiera z biegiem lat dużą część dramatyczności. To sprawia, że wizje senne wydają nam się nieraz realniejsze od wypadków, którym zagłębiamy w twarz z bliska szeroko otwartymi oczami, upewniając się o ich dotykanej twardości niepodobnej do ulotnej materii snów. Sen wydobywa z bezładnej miazgi życia to co esencjalne. Może dlatego w trakcie swego trwania,

nawet choćby na zegarze naszej egzystencji odmierzały je tylko nieliczne minuty, daje tak obfite poczucie ciągłości, zwartości, logicznego powiązania sekwencji, jasności i precyzji — czyli cech, których pozbawiony jest świat oscylujący na krawędzi bezsensu, przyrównany przez poetę do opowieści idioty pełnej jazgotu i furii. Ale by pozostała na zawsze nieujawniona tajemnica największego zbliżenia życia do śmierci, by nikt nie mógł się chełpić nawet w obliczu końca lub groźby końca że dane mu było ogarnąć wzrokiem własne życie z tamtego brzegu, z krainy snu dobija się pod próg dnia jak z niewoli u zazdrosnego o swe sekrety wroga — z wyrwanym językiem. Nikomu nie udało się opowiedzieć dokładnie swego snu. Przebudzenie zrównuje zjawę senną z jawą w powracającej na dawne miejsce opowieści idioty pełnej jazgotu i furii. Ocala się gmatwaninę, której niesposób rozplątać i wyrazić; ściga się dym, któremu nie podobna już więcej nadać utraconych kształtów. Bogactwo, logika, jasność snu zostawiają po sobie, niczym po eksplozji, jedynie odłamki niematerialnej i zadziwiającej budowli.

Tak było z księdzem Rocca. Znacznie później, kiedy odzyskał siły i w pogodniejszym usposobieniu wspominał swój kryzys, nie mógł z gruzów tego snu odgrzebać więcej nad parę względnie wyraźnych odłamków. Nie opuszczało go ani na chwilę przeświadczenie o ogromnej rozpiętości ujrzanego obrazu, ale stał wobec niego równie bezradny jak człowiek któremu błyskawica oświeciła w ciemnościach okoliczne strony tylko na ułamek sekundy i zgasłszy, porzuciła w nim wszystkiego jeden czy dwa fragmenty — samotne, słabo związane z resztą, zbyt przypadkowe by z ich pomocą przedsięwziąć rekonstrukcję całości.

Immacolatę widział w tej samej na pozór, a jednak innej sytuacji. Był to ów dzień, popołudnie, gdy samotność chwyciła go za gardło (bo tylko samotność, a nie długo na uwięzi trzymany głód ciała, odjęła mu rozum, samotność domagająca się najprostszego zespolenia z życiem i światem) i popchnęła go do szaleństwa, którego grzeszny owoc leżał teraz na cmentarzyku u stóp *Monte della Madonna*

dei Marini. W rzeczywistości na klęczkach najpierw prosił Immacolatę o zgodę — drżący z przejęcia, bez wątpienia śmieszny w swoim bełkocie, z sercem zalanym nienawiścią do siebie, do niej, do całego okrutnego Dzieła Stworzenia — i dopiero napotkawszy opór, użył, w przystępie gniewu na myśl o własnym poniżeniu, przemocy. We śnie wyglądało to zupełnie inaczej.

We śnie Immacolata stała obok otwartego okna, a słońce cesało promieniami jej miedziane włosy. Nagły dreszcz wiatru dmuchnął w jej ciężkie splety, odrywając od nich setki złotych pręcików, które grzebieniastym wachlarzem przylgnęły do błękitnego tła nieba. Nie patrzyła na niego, lecz w górę i szczipione dłonie przyciskała do dołka pod piersiami. Radość życia, jakiej nigdy dotąd równie ostro nie zaznał, rozpełzła się w nim słodką niemocą. Zdawało mu się — zapamiętał to dobrze — że nikogo poza nim i Immacolatą nie ma na Wyspie. Usłyszał śpiew bez słów tak dziwny, jakby wszystkie kolory morza w zatoce zamieniły się w szklane kule o różnych tonach i popychane to tu to tam niewidzialną ręką, uderzały o siebie w nieustannym krążeniu. Kiedy zbliżył się do niej i osunąwszy się na kolana objął ją w pasie ramionami, runęła w przepaść jak posąg strącony z wysokiej skały krzycząc: *Aiuto, aiuto!* Ten okrzyk był po dwakroć związany z rzeczywistością: wydobył się naprawdę z jej ust owego popołudnia, i przyszła z nim na *Monte della Madonna dei Marini* wieczorem pamiętnego dnia lipcowego, w którym Sebastiano, usłyszawszy jej wyznanie, skoczył ku niej pod murem Certosy z nabiegłymi krwią oczami by w chwilę potem, wyjąc z bólu, zasłonić je rozczapierzonymi palcami.

— Powinieneś stąd wyjechać — powiedział doktor Sacerdote, gdy chory obudził się wreszcie, otworzył z wysiłkiem oczy i zażądał wody. — Powinieneś poprosić o przeniesienie.

Ksiądz uśmiechnął się melancholijnie. — Co mi zostało w życiu prócz przyzwyczajenia? — odparł.

W dwa miesiące później natomiast opuścił na zawsze Wyspę jego przyjaciel.

IX

Tak więc, choć zaczęła się już druga połowa maja 1950 roku, niewielu tu jeszcze turystów. Raz dziennie, gdy przychodzi statek z Neapolu, kolejka linowa wyciąga niby podrywka z przystani na Placyk kilkanaście osób, które zatrzymują się na krótko między stolikami jedynej kawiarni, przebiegają szybkim spojrzeniem po siedzących, zadzierają głowy ku wieży zegarowej jakby chciały dokładnie zapamiętać godzinę swego przybycia, i odpływają w głąb Wypsy wąskimi uliczkami i drózkami.

Na Wyspie trwa ciągle słoneczny chłód. Między późnym popołudniem a zmierzchem, w miarę jak słońce dosięga zasłony wieczoru (którą tutaj jest góra zwana Słoneczną), ludzie przy stolikach kawiarni usuwają się stopniowo z rewirów pogrążających się w cieniu, szukając na Placyku plam ogrzewanych jeszcze blaskiem zachodu. Rano tylko niektórzy przybysze z krajów Północy schodzą nad morze; ale nawet oni wracają natychmiast po kąpieli do miasteczka, tam gdzie oczekuje się cierpliwie sezonu nie próbując go siłą przyspieszyć.

Wiosna w tym roku nadeszła późno. Był gorący, niemal upalny, styczeń i luty, potem spadły zimne deszcze, w marcu i w kwietniu niebo skryło się za niskimi chmurami, powietrze stało się podobne do zakopconego szkiełka lampy naftowej i w niejednym na Wyspie domu płonął ogień w kominku. Morze koloru farbki rozpuszczonej w brudnych mydlinach szarpało monotonnie nadbrzeżne skały. Rzadko widywano mgliste kontury lądu stałego i sąsiednich wysp.

Dopiero na początku maja czysty i suchy wiatr przyniósł Wyspie jej spóźnioną wiosnę. Ucichło morze — lekko pomarszczone z rana, spryskane słońcem w południe, przylegające do brzegów płatami przezroczystej śniedzi. Roślinność ogrodów, winnic, pinet i gajów owocowych załśniła na tle lwiej żółci urwisk skalnych i nagich głowic górskich. We wszystkich grotach — Zielonej, Błękitnej i Fio-

letowej — ożyła znowu magia wody, kamienia i tajemnych filtrów nieba przesączającego się z zewnątrz. Jak stop szkła i metalu dźwięczały dzwony w kościołach.

W porannym koncercie dzwonów kościelnych najślabiej odzywał się mały dzwon na *Monte della Madonna dei Marini*. Po pierwszym mocnym uderzeniu następowała pauza, przerywana zamierającymi trąceniami żelaznego serca o klosz: niby pęknięty sznur pereł sypały się coraz cichsze i wtlejsze, aż roztopiały się w końcu we własnym echu. Potem zrywało się parę nowych uderzeń, ale tak gwałtownych i szybkich, jakby dzwonnik chciał zmęczenie pokonać samym tylko uporem, podobny w tym do opadającego z sił wędrowca na ostatnim przed szczytem odcinku drogi. Znowu powietrze napęniało się chaotyczną gonitwą drobnych dźwięków i pogłosów, które naskakiwały na siebie, połykały się nawzajem, lub rozbiegały się na wszystkie strony, ginąc stopniowo w rozgwarze wstającego dnia i w nawoływaniach się rybaków. Wreszcie rozlegał się akord końcowy — głęboki, przewlekły i znienacka urwany; cisza po nim trwała tak długo, że zdawało się iż dzwonnik zawisł martwy na sznurze.

Słuchając tej muzyki dzwonu w kościółku na *Monte della Madonna dei Marini*, można było pomyśleć że nie żelazne lecz ludzkie serce opowiada w niej o sobie Wyspie. W wiosce u stóp góry ludzie wzruszali ramionami: *È malato povero Padre Rocca. Albo: Diventa vecchio.*

W samej rzeczy w ciągu tych sześciu lat ksiądz postarzał się bardzo i bez walki poddawał się chorobie. Jego niewysoka postać skurczyła się raczej, niż zgarbiła. Odprawił msze chwiejąc się na opuchniętych nogach, a kiedy wznosił ręce w geście Ofiarowania, drżały jak płomienie świec na ołtarzu. Do umierających i zmarłych w osiedlu schodził jeszcze — choć bardzo rzadko — o własnych siłach, ale z powrotem prowadziły go zawsze pod górę dwie osoby.

Prócz tego od pół roku przeszło jego samotność wystawiona została na nową próbę. Jakkolwiek Sebastiano nie był z początku zbyt chętnie widzianym gościem na *Monte*

della Madonna dei Marini, ksiądz przyzwyczał się do niego z czasem — zwłaszcza po wyjeździe doktora Sacerdote — do tego stopnia, że ilekroć murarz nie zjawiał się kilka dni na mszy porannej, proboszcz Opiekunki Żeglarzy odczuwał coś w rodzaju ostatecznego sieroctwa. Taki jest tajemny węzeł, łączący ludzkie losy: z pętli zaciskającej się na szyi, staje się w samotności linką ratunkową; nawet cień winy rozchwiewa się zwolna i w końcu znika, gdy w blasku słońca i ciekącym jak krew z żył czasie wyciągnięta ręka nie znajduje nic poza własnym cieniem. Bywało że po mszy Sebastiano odpoczywał na schodach kościółka. Padre Rocca siadał wtedy obok niego i mówił to wszystko, czego nie ośmielił się dotąd powierzyć nie tylko żadnemu ludzkiemu uchu lecz także grobowej ciszy. Może dlatego że Sebastiano nie był ani jednym ani drugim, będąc w pewien sposób i jednym i drugim? A może od dawna już domagała się w nim głosu potrzeba spowiedzi i cofając się tchórzliwie przed światem, na rozpaczliwą odwagę zdobywała się wobec tego, który do świata należał jedynie swym kalekim i bezdusznym istnieniem? Cokolwiek by o tym należało sądzić, księdzu sprawiało niezwykłą ulgę posiadać słuchacza, który był równocześnie głównym adresem jego smutnej opowieści. I działo się tak, choć ileż razy spostrzegał się po niewczasie, że nawet nie słyszącemu słuchaczowi nie umiał lub nie chciał wyjawiać całej prawdy. Kto zresztą potrafi opowiedzieć całą prawdę o sobie? Jesteśmy zgubieni jak dzieci zabłąkane w lesie. Kiedy stoisz przede mną i patrzysz na mnie, co wiesz o moich bólach i co ja wiem o twoich? A gdybym upadł przed tobą i płakał i opowiadał, wiedziałbyś o mnie więcej niż o piekle, gdy mówią ci że jest gorące i budzi trwogę? Nie, Padre Rocca nie znajdował słów na wyrażenie swej ukrytej głęboko męki ponad te, nieudolne i wstydlive, które wszystkie jego błędy i nieszczęścia kładły na karb osamotnienia. Chociaż nie brak mu było daru wymowy, był równie niemy jak jego słuchacz. A Sebastiano? Nie mógł nawet w słowach szukać fałszywej ucieczki od swej niedoli. Być może, nie pojmując z niej nic lub za mało, nigdy już —

na szczęście dla siebie — miał nie zajrzeć osłepłym wzrokiem w jej zimne oczy. Nieoczekiwanie, często w najbardziej od wzruszenia nabrzmiałym punkcie monologu księdza, wstawał ze schodków i jakby nie zdawał sobie w ogóle sprawy z obecności mówiącego, szedł powłócząc ze zmęczenia nogami na ścieżkę wiodącą w dół Wyspy.

Sebastiano przestał przychodzić na *Monte della Madonna dei Marini* w pierwszych dniach listopada poprzedniego roku. Któregoś deszczowego ranka o świcie, w jesienny ziąb, najmłodszy mnich z Certosy, Fra Giacomo, znalazł go leżącego bez ruchu w wgłębieniu pod murem na tyłach Ogrodu Przeora, tuż obok ześlizgu *plateau* w stronę morza: pod tym samym odcinkiem muru, którego Sebastiano nie zdążył przed laty odnowić i który na długą zapewne rzeczy pamiątkę pozostał szaro-zielony jak patyna skał w białej kredową białością obręczy Certosy. Kto wie czy młody mnich, świeżo przybyły na Wyspę z klasztoru pod Altamurą w Apulii na miejsce zmarłego towarzysza, znał już historię Certosy na tyle by pomyśleć, patrząc na odwróconego twarzą do ziemi i rzekłbyś martwego mężczyznę w strzępach ubrania, że tak wyglądałby jeden z owych siedemnastowiecznych obleźycieli małodusznej twierdzy strachu, gdyby korowód zadżumionych dotarł był do ostatniej reduty *Giardino del Priore*. Ale Certosa wyzbyła się swej dawnej małoduszności, więcej — pragnęła ją odkupić i na zawsze wypłenić z pamięci Wyspy, toteż w chwilę po tym odkryciu Sebastiano znalazł się za murami, niesiony do *Chiostro Piccolo* przez wszystkich czterech zakonników. Tylko jeden z niosących dźwigał już raz jego ciało 25 lipca 1933 roku.

Było to ostre zapalenie płuc, groźne dla wycieńczonego bezdomnością organizmu, i wiele tygodni trwały wysiłki odpędzenia widma śmierci z małej celi, w której ułożono włóczęgę. Dopiero w przeddzień wili Bożego Narodzenia rekonwalescent przestąpił próg swego przymusowego więzienia i przez nikogo nie podtrzymywany, skierował się wolno ku *Chiostro Grande*. Sądzone że chce opuścić Certosę i Fra Giacomo niósł nawet za nim do bramy jego

torbę z płótna żaglowego wypchaną naprędce żywnością. Stała się jednak rzecz niespodziana: zatoczywszy koło podcieniami krużganku, z prawą dłonią ocierającą się lekko o kolumny jak o struny kamiennej harfy, Sebastiano wrócił do celi tą samą dokładnie drogą którą przyszedł z niej na duży dziedziniec klasztorny.

Ani nazajutrz, ani żadnego z następnych dni Sebastiano nie porzucił Certosy. Jej czterej mieszkańcy promienieli cichą radością: na oczach całej Wyspy ten, który szesnaście lat przemierzał ją wzdłuż i wszerz bosymi i zranionymi stopami, jakby nie znajdując dla siebie więcej miejsca na szorstkiej i spalonej słońcem ziemi rodzinnej, wybrał nareszcie swoją stałą siedzibę. Znużyła go i pokonała ostatecznie wędrówka bez celu? Dwa miesiące niemocy podcięły w nim wolę dalszego życia na drogach i ścieżkach małego świata otoczonego zewsząd morzem? Nie oczekiwano odpowiedzi na te pytania, bo któż mógł je dać poza nim samym, wdrażającym się do nowej egzystencji w Certosie z nienaruszoną pieczęcią na ustach? Ale znowu nasuwały się analogie, gdyż w analogiach my dzieci zabłąkane w lesie szukamy poczucia ciągłości i sensu istnienia, jak znaków naciętych na korze drzew rękami naszych poprzedników. Certosa już raz przysięgała swego dobroczyńcę, by śmierci na spotkanie wyszedł za tymi samymi murami, które z wdzięczności za pierwszego potomka kazał był niegdyś wznieść ku większej chwale Nieba wśród potomnych; chociaż nie z własnej winy Sebastiano nie dokończył dzieła odnawiania murów Certosy, gdzie pewność że nie dlatego właśnie jego nieślubny syn pierwotny leżał teraz — w przekonaniu mieszkańców Wyspy — na cmentarzyku u stóp *Monte della Madonna dei Marini*? Certosa doczekała się wyrównania rachunków ze swoim niedoszłym odnowicielem; on sam nie zdążył spłacić Opatrzności długu za ten mizerny okruh szczęścia, jaki dany mu był na ziemi. I oto, wbrew nadziejom i rachubom mnichów, na powrót zazgrzytała w stosunkach między Wyspą a Certosą dawna nuta niechęci. Certosa zdobyła świeżego penitenta. Za czyje jednak grzechy miał

żałować Sebastiano, zamieniwszy torbę włóczęgowską na celę klaszorną a okrycie nędzarza na habit pokutniczy? Za co wyrzec się swej bezdomnej wolności i poddać surowej regule skruchy? Nie wiadano, bo skąd, że zanim ból wydarł z gardła murarzowi Certosy krzyk w tamto upalne południe, na włosku zawisło przez chwilę życie stojącej naprzeciw niego ciężarnej narzeczonej. Także kronikarze średniowieczni nie wiedzieli w jakich okolicznościach i z czyjej ręki zginęła na krótko przed zwycięstwem spisku detronizacyjnego żona księcia-sekretarza Joanny Andegaweńskiej.

Nie tyle habit pokutniczy co tunikę klaszorną otrzymał Sebastiano na miejsce swoich spalonych łąchów: zgodnie z panującym w tych stronach (choć powoli już zanikającym) zwyczajem *monaco di casa*, który świeckim bez święceń zakonnych pozwala żyć we własnych domach z pogardą dla ziemskich spraw. W rzeczywistości znacznie bardziej był mnichem okrążając Wyspę cierpliwym chodem pątnika, niż teraz — gdy Certosa stała się dlań przystanią i domem. Przez nikogo do tego nie zachęcany ani tym więcej zmuszany, pracował rano w *Giardino del Priore*, i już wczesną wiosną zdawało się że ogród — zapuszczony i zdziczały, tylko na jednym skrawku pod murem zewnętrznym ocalony pod małą winnicę — odzyska bodaj część swej dawnej wspaniałości. Zachodzono w głowę jak mógł pracować z taką dokładnością; musiał chyba coś widzieć, skoro wyrwane chwastom kłomby nabierały stopniowo dzięki jego rękom symetrii, której nie powstydziliby się ogrodnik używający sznurka rozpiętego między palikami. Jeszcze natrętniej kołatało się w mnisich głowach to pytanie, kiedy z nastaniem zmierzchu pomagał w warsztacie założonym przez Fra Giacomo.

Fra Giacomo, rodem z Benevento, nim wstąpił do klasztoru pod Altamurą był trochę rzeźbiarzem, i po wojnie wślawił się próbą odtworzenia w drzewie słynnych drzwi brązowych katedry w swym rodzinnym mieście, prawie całkowicie zniszczonych w bombardowaniu z czter-

dziestego trzeciego roku. Przyjechawszy na Wyspę, nie tylko ocenił natychmiast piękność jej głównego prócz wykopalisk rzymskich skarbu, *Pietà dell'Isola*, lecz postanowił uczynić z niej jedno ze źródeł dochodu dla zubożałej Certosy: z myślą o sezonie turystycznym zaczął kopiować dzieło anonimowego mistrza sienneńskiego w niewielkich ołtarzykowych formatach jako *Ricordo dell'Isola*. Sebastiano, gdy młodemu mnichowi udało się sprowadzić go do warsztatu, polerował z początku rzeźby szklistym papierem przed położeniem farby — rzecz wymagała jedynie zwykłej wrażliwości palców. Rychło jednak odważył się sam sięgać po dłutka i z zadziwiającą precyzją poprawiał spieszną robotę Fra Giacomo. Wykręcał przy tym głowę w ten sposób, w jaki zwykł był szukać na niebie słońca. I nie podobna było odgadnąć czy tak właśnie widział cokolwiek przez szparkę w kąciku prawego oka, czy też nie musiał w ogóle patrzeć na dłonie w których każdy nerw przechowywał od dzieciństwa pamięć kształtów *Pietà dell'Isola*.

W maju Sebastiano zaniemógł ponownie: niejasna była tym razem przyczyna jego dolegliwości, i obawiano się że nie umknie śmierci. Leżał w celi twarzą do ściany, nie przyjmował jedzenia gdyż sprawiało mu widoczną trudność przełykanie, spał ciągle i budził się tylko po to by wyciągnąć w półmroku rękę po stojący na skrzynce obok łóżka odwar z rumianku lub winogron; we śnie wydobywał mu się z krtani suchy charkot, w którym jedyny wśród czterech mnichów świadek wypadku sprzed siedemnastu lat rozpoznawał znajome brzmienie. We śnie też zasłaniał niekiedy zgiętym w łokciu ramieniem policzki, czoło i oczy, jakby opędzając się czy broniąc przed groźnymi widziadłami.

Wieść o niebezpieczeństwie zagrażającym jego życiu rozeszła się szybko po Wyspie. Chociaż już w czasie poprzedniej choroby płuc szanse uratowania go spoczywały na czułej wadze, dopiero teraz Wyspa uprzytomniła sobie z niepokojem że może odejść ten, który stał się jej częścią

równie nieodłączną jak urwiska skalne, nagie głowice wzgórz, kolorowe groty, Opiekunka Żeglarzy z uniesionymi do góry rękami, czarny krzyż upamiętniający śmierć dziewięciu rybaków i latarnia morska na *Monte del Faro*. Brama Certosy otwarta była cały dzień i na dziedzińcu *Chiostro Grande* zbierały się bez ustanku gromadki ludzi, rozmawiając — z jakże niestety zbędną ostrożnością! — szeptem, oczekując nowin od kogoś z zakonników czuwających na zmianę przy łożu śmiertelnie strudzonego wędrowca. Z najdalszych osiedli znoszono kosze pełne owoców, ryb, świeżego chleba i wina: ponieważ Sebastiano prawie od początku nie dotykał w momentach przebudzenia się żadnych pokarmów, było w tym raczej coś z pogańskiej ofiary składanej Bogu, który ważył wolno w Swych dłoniach, jak gdyby ociągając się i ciągle nad czymś zastanawiając, jego los. Nigdy, jak w owej drugiej połowie maja 1950 roku, nie zadzierzgnęły się takie nici serdecznej zażyłości między Wyspą a Certosą, precz odpędzając cienie dawnej i nowszej przeszłości. Kilka razy dziennie przybiegała z baru na Placyku Immacolata. Jednego z ostatnich dni miesiąca chłopiec służący do mszy w kościółku Opiekunki Żeglarzy przywiózł na mule księdza Rocca. Zaintrygowani ustawicznym ruchem w Certosie, wchodzili także za jej bramę pierwsi na Wyspie turyści. *Sta morendo il nostro Sebastiano* — informowano ich tonem, który nie dopuszczał myśli by ktokolwiek mógł nie wiedzieć kim jest umierający.

Przeważała w końcu szala życia. Nastął czerwiec, ociepliło się gwałtownie i rozpoczął się sezon w pełni, przyciągając co dnia setki cudzoziemskich i włoskich przybyszów z Neapolu, gdy Sebastiano wparł się łokciami w posłanie i wykonał gest wskazujący że chce usiąść. Nie uniósł się nawet na wysokość dwóch palców, ale natychmiast przyniesiono mu talerz *minestriny*. Na dziedzińcu klasztornym rozległy się głośnie okrzyki. W parę godzin potem cała Wyspa — od *Monte della Madonna dei Marini* do *Monte del Faro*, od przystani po *Capo Scogliera* — podawała sobie z ust do ust radosną wiadomość. Nie znała

jednak celów dla których Najwyższy Wążnik dozwolił, że już pod koniec czerwca Sebastiano powrócił do pracy w Ogrodzie Przeora i w warsztacie Fra Giacomo.

X

Nadszedłszy z opóźnieniem, sezon był gorętszy niż kiedykolwiek. Takiego lata nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Wyspy.

Już wczesnym ranem słońce zdawało się ze zdwojoną lub potrojoną szybkością pokonywać drogę do zenitu. Jak niepowstrzymany pożar, wywołany przyłożeniem płonącej żagwi do ogromnego stogu słomy która kruszy się aż w palcach od suszy, upał ogarniał Wyspę jednym długim i gorącym tchnieniem. Turyści schodzący nad morze krętymi ścieżkami starali się nie dotykać w wąskich przejściach skał, tak były rozpalone. Błękit nieba nabierał popielatego odcienia, a rozpylona w powietrzu mgła słoneczna pozwalała dojrzeć okrąg morski w promieniu dwóch najwyższych kilometrów, zasnuwając niby ścianą białego dymu cały horyzont. We wszystkich zakątkach Wyspy — nawet na rzadko uczęszczanym wydmuchu *Capo Scogliera* — roilo się od nagich ciał, morze wzdłuż brzegów kotłowało się jakby ściągnięto ku nim ciężkie od połowu sieci. Mewy wzbijały się nad wodę zmęczonym lotem. Pauzy dzienne w nawadnianiu winnic i poletek były coraz krótsze. Żar zabijał zapachy Wyspy, roztapiając wszystko w ostrej woni morskiej, przesyconej suchą zgnilizną alg na plażach; dopiero pod wieczór słodkawy zapach drzew owocowych i kwiatów odzyskiwał przewagę i im wyżej ku szczytom wzgórz, mieszał się z chłodnymi falami mięty i szałwi. Inicjały na liściach kaktusów i agaw, nacinane przez turystów, po paru zaledwie godzinach wyglądały jak wypalone rozgrzanymi na węglach stemplami żelaznymi. Barwy — zwłaszcza biel i zieleń — przestawały należeć do przed-

miotów: były czyste niematerialną intensywnością samej istoty kolorów. Podobnie formy. Patrząc na spiętrzone na zboczach domki, lub na palmy uczepione krzywo skalistej ziemi, widziało się jak gdyby płaski rysunek na witrażu, który złudzenie trzeciego wymiaru i wypukłości zawdzięcza tylko grze promieni słonecznych.

Upał na Wyspie ocenić jednak można było najlepiej, gdy ludzie rezygnowali ze stawiania mu dłużej czoła — w godzinach siesty. Od pierwszej do czwartej, a bywało że i do piątej, ustawało życie. W dusznej i ciężkiej ciszy każde stuknięcie młotka na budowie, każde wołanie ludzkie czy stąpienie drewnianych trepów na chodniku, miało w brzmieniu i pogłosie coś grząskiego i zwolnionego. W rozżarzonej do białości pustce każdy samotny przechodzień zataczał się na wpół pijanym krokiem w niewoli swego czarnego cienia.

Wieczorami nie ustępowała duszność, ale oczyszczał się widnokrąg. Mgła słoneczna ulatniała się na krótko przed zachodem. Gdy słońce przygotowywało się do zniknięcia w stronie sąsiedniej wyspy, rosnąc i napływając krwistymi plamami, horyzont na całej długości styku nieba z morzem stawał w płomieniach, które w przeciągu paru minut zdzierały matowo-białą zasłonę. Czerwone i różowe smugi różnych odcieni i stopniowo ciemniejące na obrzeżach — jakby je obrębiono hiszpańską koronką — opasywały granicę wzroku, i naraz ukazywały się między nimi podłużne obłoki których istnienia nikt w tak gorących i bezwietrznych dniach nie podejrzewał. Od morza nie dęła najłżejsza *brezza*. Mimo to przezroczystość powietrza wzmagala się ciągle: z nastaniem pełnego wieczoru, ledwie wraz ze słońcem gasł czerwony skraj nieba, pajęczyną światełek owijał się niewidzialny za dnia Neapol.

Zmierzch był sygnałem wytechnienia. Na drózkach w pobliżu Placyku, i na samym Placyku, ludzie zbijali się w rozkołysaną i niespokojną masę. Dalsze spacerowały w sobie coś z tej ostrożnej powolności i bezcelowości, jaka towarzyszy krokom rekonwalescentów. Na plażach powstawały biwaki, w miejscach skąd przewodniki naka-

zują podziwiać urodę Wyspy sterczały bez ruchu grupki turystów, ślizgając się wzrokiem na posrebrzanej wodzie która łagodnie i leniwie ocierała się o skały.

Dopiero późna noc przerzedzała i rozganiała w końcu ten tłum szukający swobodniejszego oddechu. Kiedy z wieży zegarowej na Placyku rozlegało się dwanaście uderzeń, cisza na Wyspie stawała się na powrót tak głęboka jak podczas siesty popołudniowej. Powietrze było dalej nagrzané od wyziewów całodziennego upału aż do pierwszych podmuchów brzasku, ale nabierało jedwabistej miękkości. Długo po północy, w okresach pełni księżycowej, dziwna światłość podobna do fosforescencji przenikała wszystko, obrysowując Wyspę konturami o niezwyklej, jak gdyby rżniętej w ciemnym szkle wyrazistości; mogło się wówczas wydawać — komuś, kto oglądałby to widowisko ze statku — że rozpławione księżycem morze nie odgradza jej od innych wysp i lądu, lecz uchroniło ją od losu reszty zatopionego świata: samotną i uśpioną, przypominającą kształtem zakapturzonego mnicha na klęczkach z czołem przykniętym do ziemi.

Przeminął lipiec i sierpień. We wrześniu nic jeszcze nie wskazywało, że lato przekroczyło swe apogeum i niebawem natura, skracając dnie i studząc je wiatrami, poczynie kurczyć rozpięty szeroko wachlarz słoneczny.

XI

Wieczorna czystość powietrza sprawiała, że w pierwszej połowie września z Wyspy widać było prócz fajerwerków *Festa di Piedigrotta* także iluminację Neapolu; od zmroku do drugiej w nocy brzeg neapolitański migotał nieprzerwanie, a jego odbłask unosił się nad linią horyzontu różnobarwnym pasemkiem. Fajerwerki puszczano z początku nieśmiało i sporadycznie, czekając na punkt kulminacyjny święta: pękały w górze jak rozkwitłe nagle

kwiaty i na posiniąłą taflę morza osypywały gasnące w pół drogi białe, purpurowe i niebieskie płatki.

Wśród wielu par oczu, śledzących na Wyspie dalekie refleksy świetlne neapolitańskiej festy, jedna przykuta była do nich z wyjątkowym przejęciem. Fra Giacomo wychodził potajemnie wczesnym wieczorem na to wzgórze pokryte piniami i oliwkami, które Certosę zasłaniało od strony Neapolu, i siadał oparty plecami o drzewo z twarzą zwróconą ku miastu. Nawet odgłosy północy z wieży zegarowej na Placyku nie były zdolne poruszyć go z miejsca. Zdarzyło się raz że straciwszy poczucie czasu, i chociaż dawno już noc zasypała ciemnością i iluminację, trwał tak w odrętwieniu do różowego świtu, do chwili gdy potrząsnął nim chłód.

Nie jest łatwo ustalić co budzi w duszy ludzkiej te przepływające wolno na podobieństwo ptaków w odlocie marzenia i tęsknoty, których nie potrafią wyrazić żadne słowa: fragment krajobrazu, jedyne jasne okno w wygaszonej fasadzie domu, łuna na odległym brzegu, zapach ziemi, ulewny deszcz, czy szum wiatru. Myśli zdają się mieć swe źródła w czymś konkretnym, a jednak wymykają się językowi i nie ukazują się nigdy w pełnym świetle; przeciekają przez palce, które nie są w stanie uchwycić ich i przytrzymać. Jak gdyby powstały w tych rejonach — sąsiadujących może z majaczeniami sennymi — gdzie wszystko jest skądś znane, lecz skazane na byt nieokreślony, wywołują uczucie ustawicznego i daremnego zbliżania się do rzeczy nieosiągalnej — do samego rdzenia świadomości, obrośniętego wieloma słojami lat jałowych i przeżytych z nawyku. I doświadczane długo, nie odsłaniają wprawdzie do końca swej tajemniczej natury, ale bywa że popychają nagle do kroku którego nie rozumie nikt prócz tego co go postawił.

Niecały rok spędził Fra Giacomo na Wyspie. Przez ten czas rzadko wspominał klasztor pod Altamurą położony na martwej i smutnej równinie apulijskiej, z nielicznymi wydęciami łysych pagórków opadających w dół wapiennymi *murgami*, z karłowatymi oliwkami wczapierzonymi w

nieżyciową ziemię jak korzenie ogromnych drzew których jeszcze całkowicie nie wykarczowano, z chłopami niewiele czym różniącymi się w swych czarnych lub ciemnobrunatnych pelerynach od zakonników. Certosa była dlań zmianą na lepsze, gdyż w habicie klasztornym szukał nie surowości i ubóstwa umacniających wiarę, lecz zapomnienia wojny — a gdzież jak nie na Wyspie, którą wojna ledwie drasnęła z oddali, można było zapomnieć płonące kościoły i domy, spopielone zwłoki najbliższych, dzieci rozszarpane odłamkami pocisków, arcydzieła ludzkich rąk starte na proch? Odrąciwszy świat taki jakim go ujrzał w młodości, znalazł w białych murach Certosy i w pięknościach Wyspy łaskę znieczulonej pamięci.

Czy podobna by świat wrócił doń teraz w światłach neapolitańskiej *festy*, które na przeciwległym brzegu kolorową smugą okrywały nieprzeniknioną ciemność lądu, w szepcie morza rozmawiającego z księżycem, w gorącym i słodkim powietrzu, które bladą przędzą omotywało listki oliwek i igielki pinii? Przymykał oczy i z dzieciństwa napływały ku niemu echa tych samych wszędzie w Campanii świąt pełne śpiewów rzewnych na przemian i wesołych, brzęku tłuczonego szkła, huku wystrzeliwanych rakiet. Ale nie to odkopało w nim źródło niejasnych pragnień i tęsknot. Nie to, lecz uczucie któremu na próżno usiłował dać nazwę i wyraz, obejmujące wszystko co go otaczało i nie zatrzymujące się dłużej na niczym. Zdawało mu się, gdy splatał dłonie na kolanach, że dotyka jednej z tych statuetek które rzeźbił w Certosie i palcami ślepcy odczytuje jej kształty: jak świat światem ktoś upadał by być podniesionym rękami litości, jak świat światem morze cierpliwie zmywało krew umarłych, księżyc oświeślał objętnie pograżone we śnie domy żywych, a Wyspa wysmagana promieniami słonecznymi odpoczywała i stygła w objęciach nocy. Jak odrącić ten świat i odgrodzić się odeń na zawsze?

Ostatniej nocy *festy* zerwała się nareszcie prawdziwa burza fajerwerków. Wylatując naraz z różnych stron, jak w chaotycznym ogniu artylerii przeciwlotniczej, roz-

rywały się na tej samej wysokości i kreśliły na sklepieniu niebieskim ciągle nowe wzory: to kwiaty, to deszcz rozpalonego popiołu, to rozczesywane warkocze, to naszyjniki i pierścienie, to fontanny. Zabrakło wolnego skrawka firmamentu, zatoka trzęsła się od kanonady. Szał ogarnął miasto — ledwie kończyła się jedna fala wystrzałów, zaczynała drugą. Morze iskrzyło się jak lustro odbijające niezliczone ilości żyrandoli. Wymiotło gdzieś wszystkie gwiazdy, księżyc zjawiał się w szczelinach zapory świetlnej nie okazalszy od ubogiego lampionu. Strumieniami sztucznego pożaru oblano *Castel dell'Ovo*: dawna forteca Normanów i Andegawenów stanęła błyskawicznie w płomieniach, a potem załopotała w górze czarną chorągwią dymu. Być może, na Wyspie pomyślano w tym momencie nie tylko o minionej wojnie, ale także o żałobnych sygnałach roku dżumy.

Parę dni dzieliło Wyspę od 19 września i od jej własnego święta *Pietà dell'Isola*, które w tym roku przypadało w czwartek. W środę po zmroku, w sekrecie przed swymi trzema towarzyszami z Certosy, Fra Giacomo wsiadł u podnóża *Monte del Faro* do motorówki zaopatrującej co miesiąc wprost z lądu załogę latarni morskiej. Nie żałował tego kroku, którego nikomu prócz niego — ani na Wyspie, ani w Benevento, ani w klasztorze pod Altamura — nie dane było nigdy zrozumieć. Żal mu było jednak trochę samej Wyspy, wsiąkającej szybko w czystą szarość nieba. I jedyne go człowieka, który na Wyspie stał mu się bliski, choć przyjaźni nie umiał odpłacić marnym bodaj słowem. Gdyby młody mnich wiedział czym jego ucieczka będzie dla włóczęgi goszczonego w Certosie!

XII

W Certosie dopiero nazajutrz o świcie zauważono nieobecność Fra Giacomo. Gdy po dzwonku porannym

jeden z zakonników zapukał do drzwi jego celi, odpowiedziało mu milczenie: w środku, zasłane łóżko i półka огоłocona ze wszystkich drobnych przedmiotów nie zostawiały miejsca na wątpliwości.

W kaplicy trzech mnichów spoglądało to na siebie, to na rzeźbę ustawioną na bocznym ołtarzu. W trójkę zdołali ją tylko umieścić na noszach i przenieść dołem, co kilka kroków opierając ciężar na ziemi i zmieniając się przy przednich uchwytach, do podcienia krużganku w *Chiostro Grande*. Brama Certosy była jeszcze zamknięta. Dzień wstał znowu bezwietrzny i nieskazitelnie słoneczny, ale zdawało się że od morza wieje ku Wyspie fala chłodniejszego powietrza: sama przyroda wychodziła naprzeciw świętu, które łączono ze schyłkiem lata i końcem sezonu. Chociaż orszak nie wyruszał nigdy z Certosy przed dziesiątą, kiedy z ostatnim uderzeniem na wieży zegarowej odzywały się oba dzwony w kościele na Placyku, za murami słyhać już było gwar przygotowań — cienkie głosiki dziecięce, okrzyki mężczyzn i kobiet, nucone przez chóry dziewcząt urywki pieśni śpiewanych w procesji. Ktoś wystrzelił na próbę dwa fajerwerki, które pokarbowanymi jak owcza wełna kitami zawisły na lśniącym tego dnia lazurze nieba.

Na krótko przed oznaczoną godziną trzech zakonnicy przesunęli się z rzeźbą z podcienia na odsłonięty dziedziniec, blisko bramy. Między ciemnokasztanowymi habitami, w mlecznym blasku poranka, słońce zgęściło czerń chustki Madonny i rozpryskiwało się o Jej złote loki. Niebieska jak przedwieczorne morze była suknia okrywająca pochyloną postać. W wyciągniętej sztywno i popielatej figurze Syna promienie słoneczne rzeźbiły jak gdyby po raz drugi wijące się włosy na brodzie i głowie, splecione łodygi ciemniowe, ostre kości policzków, wąski otwór ust. Może to On sam chciał przerwać trwającą od lat tradycję i popchnąć ku sobie Wyspę i Certosę w tym najprostszym geście pomocy i wspólnego ugięcia się pod obrazem Męki i Litości? Może wybrał już tam za bramą człowieka, który

zastąpi zbiegłego braciszka i utoruje drogę ostatecznemu pojednaniu?

Właśnie wtedy w wylocie przejścia prowadzącego do Ogrodu Przeora ukazał się Sebastiano. Postawił na ziemi wiadra, zamknął za sobą furtkę, i ujawszy je na powrót w ręce, skierował się do studni na środku dziedzińca. Po dwóch chorobach stał się jeszcze chudszy i bardziej zwiotczały, jego krok mówił o zużyciu ciała na które nie ma lekarstwa. Podszedłszy do studni, opuścił na łańcuchu w głąb czerpak; nawijanie łańcucha sprawiało mu wyraźną trudność, parokrotnie przytrzymywał na chwilę rękojeść korby piersią wypiętą do przodu. Długo pił, zanurzył całą głowę w czerpaku, przelał wodę do wiader i usiadł na krawędzi ocembrowania.

Gdy tak siedział podawszy słońcu do osuszenia mokłą twarz, trzech zakonnicy spojrzeli po sobie bez słowa, po czym jeden z nich oddalił się szybko w stronę studni.

Sebastiano nie stawiał oporu. Na dźwięk dzwonów kościelnych otwarto bramę; *Pietà dell'Isola* wychyliła się za mury na barkach czterech niosących.

Szedł w pierwszej parze na prawo, by ujrano od razu że Certosa nie zamierzała ukrywać smutnej prawdy, i by w drodze pod górę mniej odczuwał niesiony ciężar. Tłum rozstąpił się i zamarł w milczeniu. *Fra Giacomo! Dov'è Fra Giacomo?* — krzyknął ktoś w tylnych szeregach i urwał natychmiast, jakby zawstydził się własnego głosu. Białe ubrane dzieci, nie rozumiejąc tego co się dzieje, obrzuciły statwę kwiatami, garściami *confetti* (zwanych tu *coriandoli*) i spiralami kolorowej bibułki; dziewczęta zaintonowały nieśmiało pierwszą pieśń. Ale grobowa cisza starszych zburzyła ustalony porządek procesji. Wolno, klaszcząc czterema parami sandałów o ziemię, orszak posuwał się naprzód wśród osłupienia obecnych. Nawet dzwony zdawały się bić raczej na trwogę, opuszczone w swych samotnych dźwiękach które nie napotykały wtóru świątecznej wrzawy. Wysoko, ponad setkami głów, Madonna patrzyła spokojnie-bolesnym wzrokiem nie na Syna, lecz na zgięty kark z koczkiem włosów; tak blisko głowa Umę-

czonego zwisała od schylonej głowy prawego z niosących, że przy zejściu w dół mogłyby się co pewien czas dotykać. Teraz jednak odbywało się wejście pod górę: przed pierwszymi schodkami orszak przystanął i połączyły się za nim oba skrzydła tłumu.

Było już widoczne, że Sebastiano dźwigał ciężar nad swoje siły. Jego stopy, tak przez lata obeznane z każdą piędzią ziemi na Wyspie, zastygały na okamgnienie w pół stąpienia i kołysały się lekko w powietrzu, szukając po omacku najrówniejszego miejsca na drodze. Nogi dygotały mu w kolanach, na łydkach zgrubiały i nabrzmiały żyłaki. Oddychał ciężko z suchym i astmatycznym gwizdem; z czoła i skroni płynął mu stróżkami pot i natrafiając na przylepione do policzków małeńkie krążki *confetti*, znosił je ku kłakom brody; palce obu dłoni wbiły się paznokciami jak szpony w nieheblowany drążek uchwytu. Ale w jego twarzy, pod zaciągniętymi łuskami powiek, a zwłaszcza w rozedrganej szparce prawego oka, toczyła się gorączkowa praca myśli wstającej z długiego obumarcia: jakby sobie coś przypominał, jakby co krok idąc naprzód cofał się o szmat czasu wstecz, jakby tymi ostrożnymi stąpieniami pokonywał olbrzymie przestrzenie, jakby rozpoznawał dokładnie, kawałek po kawałku, niesione przez siebie brzemie i w słońcu września nie oczekiwał potem, lecz tajał.

Przed schodkami, gdy orszak zatrzymał się dla nabrania sił, ludzie najbliżsi pierwszej pary spostrzegli jak zamknięte powieki ślepcy uniosły się nieco i strząsnęły na jego policzki parę łez.

Na schodkach ciężar jeszcze bardziej spoczął na barkach tylnej pary niosących, ale Sebastiano zaczął zdradzać nagły niepokój. Czy dlatego że drążek uchwytu obsuwał mu się na ramieniu i wymykał z zaciśniętych palców, czy jego nogi wypadły z półtanecznego rytmu i za wcześniej uderzały o stopnie — dość, że ogarnęło go coś na kształt paniki i rwał do przodu jak koń ciągnący przeładowany wóz na śliskiej od deszczu jezdni. Raz *Pietà dell'Isola* przekrzywiła się niebezpiecznie i z tłumu wydobył się po-

mruk grozy. Sebastiano stanął, poprawił na ramieniu uchwyt i ruszył wolniejszym już krokiem. Jego twarz była tak mokra, jak wówczas gdy nadstawił ją słońcu siedząc na studni.

Dalej droga była gładka i mniej stroma. A przecież ten odcinek zdawał się dlań trudniejszy nawet od schodków. Musiał go do kresu wytrzymałości doprowadzić dotychczasowy wysiłek, gdyż w ociążałych i miejscami chwiejnych ruchach jego ciała więcej było teraz mechanicznego transu niż świadomej pracy mięśni. Słońce przypieкло gwałtowniej. W tłumie zalegała ciągle cisza i prócz dzwonów słyszało się tylko zwielokrotniony stukot nóg za statua.

Tak orszak doszedł tam, gdzie zwężała się droga. *Lasciate passare, lasciate passare* — powtarzał daremnie mnich z pierwszej pary do stojących po obu stronach. Sebastiano, potrącony przez kogoś, szarpnął się ostro w bok. W tym momencie ugięły się pod nim kolana, a przechylone ukośnie stopy w sandałach wspięły się niemal na czubki palców: można było pomyśleć, że chce uklęknąć. *Aiutatelo, aiutatelo!* — krzyknęła jakaś kobieta. W naprężeniu nie poznano jej głosu.

Ale trwało to wszystkiego kilka sekund. Sebastiano wyprostował się i postawił pewnie następny krok. Orszak zbliżał się do drugich schodków, za którymi droga łagodnie wzniesionym łukiem między domkami miasteczka wiodła na Placyk.

XIII

Pierwszy atak duszności, i towarzyszące mu nieodłączne typowe uklucie lęku, poczuł Padre Rocca po skończonej mszy, gdy przyklękawszy na stopniu ołtarza, nie mógł się podnieść. Podparł mu obiema rękami łokieć chłopiec służący do mszy. Ksiądz dźwignął się z wysiłkiem i idąc wolno do zakrystii, ogarnął ostatni raz wzrokiem

nawę kościołka: kilkanaście osób przyszło tego dnia, przed świętem Wyspy, z osiedla u stóp *Monte della Madonna dei Marini*. Pomyślał że dalby wiele, by parę z nich pozostało tutaj choćby do południa. Samotność wtrącała go w szczególny popłoch i mąciła mu jasność umysłu w takich chwilach: w śmierci przerażało go najbardziej to, że Bóg gotów był kazać mu umierać samemu. Wracając na plebanię, zobaczył już tylko głowy ludzkie nad urwistym zakrętem ścieżki. Poglaskał chłopca i pchnął go w kierunku odchodzących.

W pokoju zrobiło mu się znowu słabo i duszno, ale nie miał odwagi położyć się na łóżku. Bał się zdrzemnąć i chore serce odsłonić do ciosu we śnie, nieświadom ani skradania się napastnika ani jego natarcia; ratunek i zbawienie tkwiły jedynie w świadomości. Chodził więc po pokoju jak między kratami klatki, zatrzymywał się to przed widokówkami na ścianach, to przed oknem otwartym na opustoszałe przedpole kościołka, stawał w rozpacz na wprost czarnego krzyżyka z trzaskiem łamiąc w stawach splecione palce dłoni, lub z zamkniętymi powiekami przytykając je do warg poruszanych szybką modlitwą. *Signore, Iddio Padre, non chiedo molto: sia fatta la Tua Volontà, ma non mi lasciar morire solo*. Przyszło mu na myśl wyjść do *belvedere* obok posągu Opiekunki Żeglarzy, ale z przestachem odpędził ten zamiar uprzytomniwszy sobie, że z brzegu wysokiej ściany skalnej ujrzy rozpostarty szeroko świat ogromnej pustki i nieruchome morze, usłyszy jak szum we własnej czaszce bicie fal w grotach u podnóża góry.

Wybiegł prawie z plebanii i dopiero za zakrętem ścieżki, kiedy poślizgnąwszy się ochłonał, zrozumiał że schodzi na wieś.

Nie odrywając nóg od ziemi, oparł się w pozycji półleżącej o zbocze wzgórza i odwrócił głowę by nie patrzeć w dół. Serce wyrywało mu się z piersi i kurczyło jak ścisłane w kleszczach, łapczywie chwycił ustami powietrze. Znowu mamrotał błagalnie: *Signore, Iddio Padre...*, za każdym razem podkreślając z naciskiem *solo*. Choćby miał

dalej poczołgać się na czworakach, musi dotrzeć do wsi. Takiego strachu nie zaznał dotąd nigdy, jeśli była chwila — błysnęła i natychmiast zgasła — że chciał się rzucić w stronę piargu. Tam, na wsi, nie oczekiwał niczyjej pomocy. Ale słońce, słońce — *il sole!* Pragnął widzieć wokół siebie ludzkie twarze.

Z nawrotem sił i uspokojenia ruszył w dół bardzo wolno, z ostrożną rozwagą. Gdyby go zobaczono! Splecione ręce przyłożył odruchowo wklęsłym daszkiem poniżej serca i pochylony, niemal wgnieciony w ziemię, wyglądał tak jakby przytrzymywał nimi drogocenny i kruchy przedmiot, który przy lada potknięciu lub zahaczeniu sutanną o występ kamienia mógłby mu wypaść i potłuc się na drobne kawałki. Lecz nie zapowiadało się by ktokolwiek miał go zobaczyć przed dojściem do wsi. Ścieżka była pusta, tylko wygrzewające się na słońcu jaszczurki umykały przed nim w miarę schodzenia, z szybkim szelestem ginąc w ostrokrzewach przydrożnych. Nie było tu drzew, nadłamane liście agaw i przylepione do zbocza liście kaktusów nie dawały ani odrobiny cienia.

Doszedł do miejsca w którym w zboczu otwierała się wyrwa, a ścieżka biegła około stu metrów grzbietem swego rodzaju przełęczy, odsłaniającej morze z obu stron Wyspy: daleko po prawej, niemal w linii prostopadłej z lewej. Dwie osoby mogły się tutaj z trudem zmieścić obok siebie, i ilekroć księdza odprowadzano ostatnio z osiedla na szczyt, jeden z towarzyszących puszczał jego ramię i zostawał w tyle; gdy schodził do wsi sam, tyle tylko że zwalniał kroku i unikał spoglądania w lewo. Teraz jednak stanął jak wrośnięty w ziemię i nie śmiał się poruszyć. A przecież jeszcze niedawno gotów był rzucić się w przepaść! Ile różnych twarzy posiadał strach ukryty w chorym sercu ludzkim!

Widać było już stąd w dole drogę do wsi pod murem cmentarnym: wydawała się bardziej odległa i nieosiągalna niż kiedykolwiek. Najwyżej kilometr dzielił go od ławki ustawionej dla turystów w połowie podejścia na szczyt. Przypomniawszy sobie zimowy wieczór sprzed sied-

miu blisko lat, kiedy wracając do domu z cmentarza, z ulgą znalazł na tej ławce odpoczywającego przyjaciela.

Po opuszczeniu Wyspy doktor Sacerdote przysyłał mu dwa razy do roku — na Boże Narodzenie i Wielkanoc — kartki ilustrowane z Mantui z paroma linijkami życzeń i pytań o zdrowie; nie odpisywał na nie, w końcu więc urwała się także i ta nić wiążąca go z przeszłością i rodzinnym miastem. Tylko widokówki wzbogaciły i upiększyły jedną ścianę pokoju na plebanii, jeszcze jaskrawiej osierocając na drugiej wyblakłą i omszoną kurzem reprodukcję *Pietà dell'Isola*. Tak upływało życie: zostawały po nim nikłe ślady, nie większe od odcisków stóp zabłąkanego na piasku pustyni. Tyle z powodzi wojny osiadło po odpływie na *Monte della Madonna dei Marini*. Życie, prawdziwe życie, toczyło się dlań tam w dole, gdzie za rozwidleniem ścieżki droga obok cmentarza prowadziła do wsi. W ciągu trzydziestu lat tysiące ust kobiecych i męskich stamtąd wszeptywały mu do ucha przez siatkę konfesjonafu opowieść o życiu, którego nie znał mając nad nim władzę osądu lub absolucji. Raz, jedyny raz, potknął się sam i niski krzyżyk wbity w ziemię cmentarną był tego wieczystym dowodem. A jednak w głębi ducha rozgrzeszał siebie jak wszystkich nad którymi z wysoka czuwała Opiekunka Żeglarzy, gdyż inne życie nie istniało. Nie istniało inne życie poza tym z którego rozgrzeszał i do którego grzesznie tęsknił. Nie było nigdy innego grzechu poza tym, że ludzie rodzą się, bronią się przed samotnością i boją się śmierci. *Signore, perdonami, abbi pietà del Tuo servo smarrito!*

Opuchnięte nogi zaboląły go od stania. Osunął się na leżący z boku głaz, tracąc z oczu drogę do wsi, i przypatrywał się to ścieżce na przełęcz to pionowemu urwisku z lewej strony. Nie, nie mógł się zdecydować: na samą myśl o przejściu przyciskał mocniej ręce do piersi i czuł zawrót głowy. Obejrzał się za siebie, na wierzchołek góry z zatkniętym jak piorunochron smukłym posągami: odwrót nie byłby długi, gdyby nie należało go mierzyć metrem takiego serca. Żałował teraz porywu ucieczki z samotności ple-

banii i uśmiechnął się gorzko, wspominając jak poprzy-
siągnął sobie choćby na czworakach dobrać do osiedla. Nie
było nawet nadziei by wcześniej niż przed zmierzchem
pojawił się tu jacyś mieszkańcy Wyspy lub turyści. Jeden
Sebastiano mógłby trafem zająć tak wysoko o każdej po-
rze dnia. Ale Sebastiano od dawna nie wydalał się za
próg Certosy.

Usiłował przemóc swój strach, zwoływał na pomoc
resztki zmaconego rozumu: czy to możliwe by znając od
trzydziestu lat centymetr po centymetrze to przejście, bał
się nagle zaufać paru minutom nerwowego napięcia tylko
dlatego że wiek i choroba posunęły ostatnimi czasy bar-
dziej swoje dzieło? Na próżno. Patrzył bowiem równocześ-
nie na morze daleko w dole pod stromym obrywem i jakby
je widział po raz pierwszy, dziwił się samemu sobie że
nigdy przedtem nie posiadał tak jasnej i ostrej świadomości
niebezpieczeństwa. Wstał z kamienia i odważył się na
próbę wspięcia się pod górę. Nie uszedł nawet dziesięciu
metrów. Błady i ledwie stawiając kroki, wrócił na dawne
miejsce.

Słońce wzbilo się teraz wyżej i świeciło mu prosto w
twarz. Zapomniał na plebanii kapelusza, toteż przesiąknię-
tą ocieranym potem chusteczkę położył na głowie i rozpiął
ze wszystkich guziczków sutannę na piersiach. Z początku
było mu prawie dobrze w tym obezwładniającym i rozle-
niwiającym cieple. Ale w obawie że mógłby usnąć, otwo-
rzył szeroko oczy. Wiedział że nie wytrzyma długo poje-
dynku, a mimo to nie poddawał się i przymrużywszy tylko
odrobinę powieki, patrzył śmiało, z wyzywającym uporem,
na żółty krążek — tak rozedrgnany w swym gorącym pul-
sowaniu, że zdawało się iż za chwilę odlei się od nieba.
Wreszcie dał za wygraną i ściągnął chusteczkę na oczy.
W różowym świetle przesłony nie łatwo było powstrzymać
opadające powieki.

Kiedy się ocknął, piekący wiew prażył mu twarz.
Wysuszone na płatek chustka leżała sztywno na gałąz-
kach krzaku pod krawędzią urwiska. Trwało trochę nim
uprzytomnił sobie gdzie się znajduje i dlaczego, i że ocknął

się na odgłos dzwonów. *È uscita Pietà dell'Isola* — wyszeptał, — *è cominciata la processione*. Była już zatem dziesiąta, minęła co najmniej godzina odkąd tu usiadł. Słyszał to niegdyś i jak niegdyś doznał dziwnego uczucia szczęścia: echa dzwonów podobne były do śpiewu szklanych kul zderzających się nad Wyspą.

Nie wiedział ile czasu upłynęło do powtórnego ocknięcia. Powietrze drżało od wybuchów, niebo pokryło się białymi kłaczkami dymu. Dzwony ginęły prawie całkowicie w huk, ale słyszać było z daleka — wyraźny choć przytłumiony odległością — krzyk czy śpiew dobywający się z setek piersi ludzkich.

Padre Rocca podniósł się z kamienia i jak urzeczony lub nieprzytomny, zataczając się i nie patrząc pod nogi, poszedł naprzód.

XIV

Zanim wysoko w górze rozbiegły się po niebieskim polu race a oba dzwony w kościele na Placyku daremnie starały się wykołysać z siebie donośniejszy ton, zanim w pobliżu statuy zerwał się krzyk ze śpiewem i jak burza ogarnął najdalej stojących w tłumie uskrzydłony jednym słowem, orszak pokonał szczęśliwie drugie schodki i wkroczył na ostatnie, prawie płaskie zakole drogi.

Przestrzeń była tu bardziej otwarta. Zdawało się że po trudzie wspinania się na szczyt drugich schodków w wąskim i zatłoczonym przesmyku Sebastiano, poczuwszy luz wokół siebie i równy grunt pod stopami, szybko odzyska zdarte siły i bez przeszkód już dojdzie do celu. Tak w istocie wyglądało, ale niestety bardzo krótko. Szedł początkowo z tą lekkością i elastycznością, jaką pamiętano z czasów gdy młody jeszcze krążył w pierwszych latach po wypadku drogami i ścieżkami Wyspy. Na zagięciu łuku rozumiano że na więcej go nie stać, że to było wszystko co mógł z siebie wydobyć w ostatnim przed metą

zrywie. Coś w nim pękło, coś odmawiało posłuszeństwa lub nie trafiało na właściwy zaczep, bo stanął przebijając wolno w miejscu nogami jak na obsuwającym się stoku wydmy piaszczystej. Jednocześnie — i to uderzyło natychmiast wszystkich patrzących nań — w jego twarzy zwracanej gorączkowo, jakby w poszukiwaniu pomocy, to na lewo to na prawo odmalowało się dziwne podniecenie. Do kościoła zostało najwyżej czterysta metrów prostej drogi. *Aiutatelo, aiutatelo!* — zaniosła się powtórnie Immacolata. Tym razem posłuchano jej wezwania. Parę rąk męskich wyrwało z jego zaciśniętych konwulsyjnie dłoni uchwyt drążka i nosze ze statua ustawiono na ziemi.

Uwolniony od ciężaru, Sebastiano skurczył się nagle, zwiesił głowę na piersi, postąpił nieznacznie do przodu i upadł ciężko jak dopiłowane drzewo któremu do zwałenia się starczy mocniejsze pchnięcie.

Immacolata dopadła doń pierwsza. Odwróciła go na plecy i przysiadłszy w pozycji klęczącej na piętach, wsunęła ostrożnie ramiona pod jego szyję i górną część zeszytniałego ciała. Wydawał się martwy lub pogrążony w głębokim śnie. Oniemiały dzwony. I zaprawdę, w ostrym słońcu zbliżającego się południa, wśród ludzi znieruchomiałych w milczeniu, między gajami owocowymi, winnicami, ogrodami i białymi domkami, pod niebem niby klosz z błękitnego szkła nałożonym na Wyspę i widoczne w oddali morze, nie wiadomo było która z tych dwóch tkwiących obok siebie na ziemi rzeźb jest dziełem sienneńskiego mistrza, która zasługuje bardziej na miano *Pietà dell'Isola!* Lecz tylko jedna ożyła: Immacolata podniosła głowę, strąciła z pozłacanych raczej niż miedzianych włosów czarną koronkową chustkę, i ciszę rozdarł jej lament.

Nikt z obecnych na tej procesji nie zapomni póki żyw lamentu Immacolaty. Był to lament Południa, przejmujący w swej dzikiej — na pół agresywnej a na pół błagalnej — gwałtowności. Nie składał się ze słów. Urywane dźwięki, niepodobne ani do krzyku ani do płaczu, układały się w gardłowo-śpiewną litanię. Słyszało się w tej litanii i złorzeczenia i korne prośby; i winę i odkupienie; i rozpacz

i wiarę; i nędzę upadku i nadzieję powstania; i przekleństwo losu i poddanie się jego wyrokom. W nabrzmiałym i zgęszczonym do kilku minut skrócie opowiadała jałowe noce i puste dnie siedemnastu lat. Zaklinała słońce, ziemię, morze, niebo i tłum — wszystko, co mogło z posad poruszyć Litość i dla lamentującej wyżebrać od życia bodaj okrucich łaski. W ostatniej, wysokiej i przenikliwej, nucie zawisła nad uniesionym na ramionach płaczki mężczyzną i milnącym echem odpłynęła ku *Monte della Madonna dei Marini*. I być może, jak zmęczony podniebnym lotem ptak, spadała na cmentarzyk u podnóża góry.

Ci, którzy pamiętali Immacolatę zaraz po wypadku i wygrażającą później Certosie, słuchali teraz jej lamentu z uczuciem że podjęła tylko urwane przed laty zawołanie.

Gdy zabrakło jej tchu, opuściła głowę i spojrzeniem suchych oczu wpiła się w jego twarz. Nie musiała pochyłać się niżej, do jego warg, by widziano że w nadludzkim skupieniu i wysiłku, oczekując owoców swego lamentu, chce rozniecić w nim zdeptaną isierkę życia. Sekundy wlokły się jak godziny. Sebastiano drgnął i w szparce prawego oka zobaczył nie wibrujący cień rozspany na nieskończoną ilość mniejszych cieni, lecz obraz o wyraźnych barwach i trwałych konturach. Najpierw wydało mu się, że ogląda Madonnę z *Donnareginy* i zdziwił się zmianie: nie posiadała medalionu z niemowlęciem na piersiach, z lewej strony nie bronił Jej przed smokiem Anioł z mieczem w rękach, z prawej nie czerniał grób Syna. Potem odtajał do reszty, i jego ciałem zmęczonym podejściem i ciężarem targnął długi dreszcz, jak gdyby zrzuciło ostatecznie opasające je sznury. *Immacolata* — powiedział. *Immacolata* — powtórzył głośno, prawie krzycząc. Teraz miało się zacząć jego prawdziwe cierpienie.

Dopiero wtedy jedno słowo *Miracolo* poderwało do góry z siłą burzy krzyk pomieszany ze śpiewem. Dopiero wtedy posypały się zewsząd kwiaty, bibułkowe zwoje i łańcuchy, a w powietrze wzbiła się kurzawa kolorowych płatków. Dopiero wtedy do bram nieba załomotały race i fajjerwerki, i znowu przemówiły zagłuszane hukami dzwony.

I dopiero wtedy odepchnięto trzech zakonników i poniesiono w triumfie statwę do kościoła na Placyku, kładąc kres wiekowej niechęci Wyspy do Certosy.

XV

Jeszcze tego samego wieczoru obiegła Wyspę, podawana z ust do ust, wiadomość że dokładnie w momencie gdy zmartwychwstał Sebastiano (gdyż takiego zwrotu używano na określenie epilogu procesji *Pietà dell'Isola* z 19 września 1950 roku: *quando è risorto il nostro Sebastiano*), w katedrze neapolitańskiej upłynęła się zakrzepła krew Świętego Męczennika z Pozzuoli. Nie było to ściśle; w zapisie katedralnym z tego roku widnieje godzina *Miracolo di San Gennaro* wcześniejsza nawet od wyjścia orszaku z Certosy. Ale po dziś dzień nikt i nic nie jest w stanie zachwiać w oczach mieszkańców Wyspy tej rzekomej cudownej koincydencji. Południe kocha się w cudach jak ludzie samotni w snach i nie pozwoli ująć z nich ani jednej ozdoby opromieniającej je dodatkowym blaskiem, choćby nie wytrzymywała próby najprostszej kontroli faktów. W cudach bowiem, w tęsknocie do nich i oczekiwaniu na nie, odnajduje — właśnie jak człowiek samotny w snach — nadzieję że można uciec rzeczywistości jeśli jest zbyt okrutna.

Następnego dnia jednak euforię Wyspy zakłócił bolesny zgrzyt. W dniu święta przed zmrokiem tylko paru turystów zapuściło się na szczyt *Monte della Madonna dei Marini*; po drodze nic nie zwróciło ich uwagi. Nazajutrz o świcie chłopiec służący do mszy księdzu Rocca nie znalazł proboszcza Opiekunki Żeglarzy ani w kościółku ani na plebanii. Schodząc z powrotem do wsi, dostrzegł przed przełęczą chusteczkę rozpiętą na krzaku żarnowca pod krawędzią urwiska. Zajrzał w dół i pobiegł pędem dalej.

Zwłoki księdza Rocca, z roztrzaskaną głową i głęboką raną w piersi od uderzenia o ostry ząb kamienny, znalaziono na występie skały około piętnastu metrów nad brzegiem morskim. Nastręczało pewne trudności ściągnięcie ich na wąski pasek plaży do którego dobiły łodzie z policją i zwołanymi na pomoc rybakami. Nie podobna było ustalić okoliczności śmierci. Wyłączwszy samobójstwo przez wzgląd na szacunek należny stanowi duchownemu zmarłego, wahano się między nagłym zemdleniem na przełęcz spowodowanym chorobą serca a zawrotem głowy od uderu słonecznego. Tę ostatnią hipotezę zdawał się do pewnego stopnia potwierdzać kapelusz zostawiony przez zapomnienie na plebanii. Ale ostatecznie nic nie stało na przeszkodzie, by w akcie zejścia odwołać się do obu możliwości równocześnie. Tak też uczyniono. *Era malato povero Padre Rocca* — zeznawali mieszkańcy wsi u stóp góry. — *È diventato di colpo molto vecchio*. Sądzone również że jakkolwiek od wielu lat schodził wyłącznie — i to w wypadkach pilnej potrzeby — do własnej parafii, i tylko raz przed pięcioma miesiącami chłopiec służący do mszy zawiózł go na mule do Certosy, tego dnia jakieś olśnienie czy przecucie ciągnęło go na obchód *Pietà dell'Isola*. Wszystko na Wyspie obracało się w owych chwilach radości i uniesienia na chwałę Cudu.

Z końcem września sezon począł wygasać. Turyści odjeżdżający na ląd stały widzieli ze statku Wyspę jak malała stopniowo, lecz w ażurowym powietrzu ostatnich dni lata odcinała się na tle nieba, morza i zachodzącego słońca niby płaskorzeźba mnicha na klęczkach z zakapturzoną głową przy ziemi. Niektórzy z nich, na pamiątkę tego czego byli tu mimowolnymi świadkami, trzymali w rękach statuetki niewielkiego ołtarzykowego formatu: *Ricordo dell'Isola*. Gdy statek zbliżał się do mola w Neapolu, Wyspa znikwała za zasłoną zmierzchu i tylko bezustannie mrugała z daleka latarnią morską na *Monte del Faro*.

Neapol, 1959.

Z dwóch objętych tym tomem opowiadań pierwsze ukazało się w Nr. 129/130 „Kultury” i otrzymało nagrodę literacką „Kultury” za rok 1958. „Wieża” została również przełożona na włoski, niemiecki i hiszpański.

SPIS RZECZY

<i>Wieża</i>	9
<i>Pietà dell'Isola</i>	43

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 18 FEVRIER 1960
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1960

